Rok III. Za czerwiec i lipiec 1913. Zeszyt 6 i 7.

MIESIĘCZNIK
KATECHETYCZNY i WYCHOWAWCZY

wychodzi

w pierwszej połowie każdego miesiąca.

Przedpłata wynosi:

w Austryi rocznie . . .	7·—	kor.
półrocznie . .	3·50	„
w Rosyi rocznie . . .	3·60	rb.
w Niemczech „ . . .	7·—	mk.
w Ameryce „ . . .	2·—	dol.
w innych krajach rocznie	9·—	frk.

Nr. pojedynczy kosztuje 1 K.

Ceny ogłoszeń:

jednołamowych na okładce 20 hal. za wiersz petitowy; na ostatnich stronach zeszytu 30 hal. za wiersz petitowy.

Adres redakcyi i administracyi:

Lwów, ul. Sykstuska l. 64.

LWÓW — 1913.
Z drukarni Józefa Chęcińskiego, ul. Leona Sapiehy l. 77. Telefon 1183.

Jaźń psychiczna.

Czynności psychiczne, które spełniamy, dają się sprowadzić do dwóch głównych grup: jedną jest życie zmysłowe, drugą umysłowe, czyli duchowe. Tamto przysługuje nam wspólnie ze zwierzętami, to wyróżnia nas od nich, a zbliża do duchów. Chociaż jednak wspomniane grupy różnią się zasadniczo między sobą i chociaż każda z nich przejawia się w najrozmaitszych postaciach, jednak wszystkie objawy psychiczne przypisujemy tej samej jaźni. Stąd co chwila mówimy: *ja* widzę, *ja* słyszę, *ja* sobie wyobrażam, *ja* wydaję sąd, *ja* wybieram, *ja* doznaję uczuć.

Czemże jest jaźń psychiczna?

Najpierw pojmujemy ją jako źródło, z którego płyną czynności psychiczne, jako *przyczynę*, która je powołuje do bytu. Moje pojęcie strejku nie istniało zawsze; tak samo dopiero przed chwilą postanowiłem, że wieczorem napiszę list do swego przyjaciela. *Ja* przed kilkunastu laty utworzyłem sobie pojęcie strejku; *ja* dzisiaj zadecydowałem o napisaniu listu. Obie czynności są niewątpliwie skutkami mojej jaźni. Jak wszystko, co niekoniecznie istnieje, co się staje, musi mieć przyczynę, tak też od jakiejś przyczyny muszą pochodzić moje czynności psychiczne. Świadomość mi mówi, że one nie tylko odbywają się we mnie, lecz także odemnie zależą, że nikt inny, jeno ja jestem ich sprawcą.

Zastanawiam się w tej chwili nad jaźnią. Czy moje doświadczenie wewnętrzne nie świadczy, że jestem przyczyną tego rozważania? Wszak widzę doskonale, że sam tworzę swe myśli, że je wydobywam z głębi swej duszy,

*

że je rozwijam, zestawiam razem, porządkuję, poprawiam, udoskonalam. Jestem świadom wysiłku i natężenia tej pracy umysłowej, którą wykonywam na przemian z większą lub mniejszą łatwością, z większem lub mniejszem powodzeniem; jeśli dłużej się nią zajmuję, doznaję znużenia i dlatego albo wypoczywam, albo przechodzę do zajęcia, które nie wymaga odemnie takiego skupienia umysłowego. Słowem, chwytam niemal bezpośrednio, jakby na gorącym uczynku wnętrzną i żywą przyczynowość swej myślącej jaźni. „*Nullus potest cogitare* — powiada słusznie św. Tomasz [1]) — *se non esse cum assensu; in hoc enim, quod cogitat, percipit se esse*“. Podobnie czuję się samodzielnym sprawcą wielu aktów swej wolnej woli. Przy uważnej refleksyi nad genezą tych aktów jestem świadom, że one powstają moją własną mocą.

Owszem, nawet te zjawiska psychiczne, które zowiemy biernemi, pochodzą od działającej jaźni. Działanie — o czem znowu mówi mi świadomość — łączy się z każdem np. czuciem, choćby ono na pierwszy rzut oka wydawało się stanem najbardziej biernym.

Tak tedy świadomość widzi w czynnościach psychicznych jakieś ich źródło i ognisko, jakąś ostateczną zasadę, siłę, energię, która je wyłania z siebie, żyje w nich, w nich się odbija i przejawia.

Więc mylą się ci, którzy utrzymują, że doświadczenie wewnętrzne odsłania nam tylko nagą czynność psychiczną, a nic nam nie mówi o jej przyczynie i podmiocie. Gdyby tak było, mógłbym czynność psychiczną, o której mi donosi świadomość, przypisać komukolwiek. Tymczasem np. o myśli, będącej przedmiotem mojej świadomości, mówię i muszę powiedzieć: m o j a myśl, a nie mogę powiedzieć: t w o j a lub j e g o.

Zarzucisz może z Humem, że w sobie i poza sobą nie poznajemy wewnętrznego stosunku zależności między przyczyną a skutkiem, lecz tylko proste następstwo zjawisk, atoli głos wewnętrznego doświadczenia protestuje przeciw

---

[1]) De veritate, q. 10, a. 12, ad 7.

temu twierdzeniu. Jak w świecie zewnętrznym odróżniam doskonale czasowy stosunek rzeczy od ich przyczynowego związku i dlatego, chociaż ustawicznie patrzę na następstwo nocy po dniu, a dnia po nocy, nie uważam ani dnia za przyczynę nocy, ani odwrotnie nocy za przyczynę dnia, tak samo jestem świadom różnicy międży tem, co się tylko dzieje we mnie a tem, co w sobie sam tworzę.

Czy jednak ta przyczyna moich czynności psychicznych jest rzeczywista? Czy wierząc świadomości, która mi mówi o jej istnieniu, nie staję się ofiarą złudzenia? Próżne albo raczej niedorzeczne byłyby to obawy. Wszak moje zjawiska psychiczne są czemś rzeczywistem. Nie mogę ich wprawdzie ani zobaczyć okiem cielesnem, ani ręką się dotknąć, ani zważyć żadną wagą, atoli mimo to wszystko są one faktami tak rzeczywistymi, jak materya, którą poznaję zapomocą zmysłów. Skoro zaś każdy fakt, każde zjawisko przypuszcza koniecznie — jak mi mówi rozum — przyczynę rzeczywistą, przeto niema wątpliwości, że także moje czucie i moja żądza, moja myśl i moje chcenie muszą być dziećmi rzeczywistej przyczyny, którą nazywam jaźnią albo duszą. Zresztą sam głos świadomości, podchwytującej w czynnościach psychicznych istnienie tejże przyczyny, jest dla mnie tak oczywisty i pewny, że przeczyć mu byłoby kłamać sobie samemu, a zarazem rzucać się w bezdenną otchłań zupełnego sceptycyzmu. To też każdy umysłowo rozwinięty i zdrowo myślący człowiek, zagadnięty, czy uważa swoje „ja“ za rzeczywistą przyczynę swych czynności psychicznych, odpowie bez wahania twierdząco na to pytanie. Zaprzeczy mu tylko ten, kto nie zechce słuchać głosu własnej natury dlatego, że on sprzeciwia się pewnym z góry przyjętym twierdzeniom bałamutnej filozofii.

Nie dajmy się tedy uwieść zwolennikom Kanta, którzy chcą w nas wmówić, że poznajemy tylko jaźń fenomenalną, a nic nie wiemy o rzeczywistej. Na jaźni fenomenalnej — jak trafnie zauważa H. Schell [1]) — wolno po-

---

[1]) Das erkenntnisstheoretische Problem (Philosophisches Jahrbuch, 1901, str. 136).

przestać w powieści, micie lub legendzie. Bohater powieści może być razem ze swoimi stanami i czynami zmyślony. „Jeżeli jednak sam bohater jest świadom swych losów i walk, radości i boleści, jeżeli z własnej samowiedzy i z własnego popędu myśli i decyduje, jak my, natenczas fenomenalny podmiot, *ja* immanentne nie wystarcza, natenczas jest konieczne i udowodnione *ja* metafizyczne... Co działa, to objawia się tem samem jako rzeczywiste. Przyczynowość jest probierzem rzeczywistości".

Śledząc dalej swoją jaźń, przekonywam się, że ona jest rzeczywistością j e d n ą. Zjawiska psychiczne nie są od siebie oddzielone na podobieństwo ziaren rzecznego piasku lub kamieni, ułożonych w stosie. Jak w jednym środku koła skupiają się wszystkie promienie, tak od jednej jaźni pochodzą i do jednej jaźni zmierzają wszystkie moje psychiczne działania. Innemi słowy, mają one jedno źródło, jedną przyczynę, jeden wspólny podmiot psychiczny.

Patrzmy na lotnika, który wobec zebranego tłumu dosiada aeroplanu, dźwiga się na nim w powietrze i dokonywa zapowiedzianego wzlotu! Ileż najrozmaitszych czynności on spełnia! Puszcza w ruch aparat, steruje nim, omija przeszkody, rozgląda się z powietrznych wyżyn po okolicy, mierzy ciepłotę i ciśnienie atmosferyczne, śledzi kierunek wiatru, oblicza zapas potrzebnej do dalszego lotu benzyny, baczy na całość motoru, śruby i skrzydeł swego rumaka, przewiduje grożące niebezpieczeństwa, obmyśla środki, zapomocą których mógłby je w razie potrzeby pokonać, przypomina sobie dawniejsze doświadczenia i przygody, cieszy się nadzieją rekordu lub przynajmniej pochwały i oklasków ze strony widzów. Któżby opisał to wszystko, co się wówczas dzieje w duszy lotnika! On pracuje z największem natężeniem wszystkiemi siłami, każdym mięśniem, każdym nerwem, każdą prawie komórką swego mózgu. Cała zaś ta praca jednoczy się w jednem ognisku jego jaźni, która nie tylko sprawia wszystkie jego wrażenia, uczucia, myśli i chcenia, lecz także oświeca je wspólnem światłem świadomości.

W mniejszym stopniu powtarza się to samo zjawisko w każdej niemal chwili naszego życia codziennego. Równocześnie albo prawie równocześnie spełniam mnóstwo różnych czynności: widzę wiele przedmiotów, słyszę, wącham, chodzę, poruszam ręką, myślę, mówię, pragnę, cieszę się lub smucę, a jednak świadomość moja się nie dzieli: wszystkie te czynności mają w mej jaźni tego samego świadka, wiedzącego o nich i zdającego sobie z nich sprawę. Gdyby jaźni było wiele, natenczas każda miałaby swą własną indywidualność, a tem samem żadna nie mogłaby być świadomą tych zjawisk psychicznych, które się odbywają u jej sąsiadek.

Tak więc moje stany psychiczne nie tylko sprzęgają się razem, lecz także — o czem mi mówi świadomość — wyrastają ze wspólnego gruntu, oraz opierają się o wspólne tło i podłoże. Choć są liczne, choć się przedstawiają w różnych postaciach, a niekiedy kłórą się wzajem, moje „ja" czuje się jednem.

Czy tedy jaźń nie jest — jak twierdzą fenomenaliści — jakimś zlepkiem pierwiastków psychicznych, jakiemś uporządkowanem zrzeszeniem niesłychanie małych świadomości? Z początku — powiadają jedni — każdy objaw psychiczny posiada samoistną świadomość, lecz z czasem znika ten stan pierwotnego rozdziału; fakta świadomości tworzą powoli skupienia, podobnie jak w życiu społecznem łączą się ludzie w rozmaite grupy stanowe lub polityczne. Jeżeli mnóstwo — rozumują inni — pochodzi z jedności, czemu odwrotnie jedność nie pochodziłaby z mnóstwa? Czemu dwie lub więcej odciętych od siebie świadomości nie mogłoby się stopić przynajmniej na pewien czas w jednej syntezie? Jedność zatem jaźni daje się także wytłumaczyć w fenomenalizmie, który odrzuca jaźń rzeczywistą. Owszem, teorya ta wyświetla doskonale różnicę, zachodzącą pomiędzy rozmaitemi jaźniami ludzkiemi, a mianowicie różnicę charakterów. Przypuśćmy, że u jakiegoś człowieka pewna silniejsza idea wybiła się ponad inne! Pociąga ona wszystko ku sobie i opanowywa wszystko: myśli, uczucia, pragnienia, ruchy, łącząc je w harmo-

nijną całość. Jeśli ta idea trwa dłuższy czas, wtedy powstaje w osobniku mniej więcej stały i swoisty typ działania, czyli charakter, który będzie tem doskonalszy, im doskonalej dostrajają się psychiczne stany do panującej idei.

Atoli w rzeczywistości powyższe wywody dzisiejszego fenomenalizmu zdołają chyba zadowolić bujającą w obłokach wyobraźnię; głos świadomości i rozumu musi je uważać za chybione. Dzięki wnętrznej intuicyi widzę w sobie najpełniejszą jedność z taką samą oczywistością i pewnością, z jaką jestem świadom wielości i różnorodności swych zjawisk psychicznych. Rozum daje pieczęć na to świadectwo świadomości. Jeśli przypuszczę, że każdy objaw psychiczny ma swą oddzielną świadomość, natenczas trudność, którą podniosłem przed chwilą przeciw mnogości jaźni, powraca z tem większą siłą, im więcej będzie psychicznych objawów. Choćby fakta świadome przyciągały się wzajem i wiązały zwolna w najrozmaitsze kombinacye, o jedności jaźni nie mogłoby być mowy. Każdy fakt wiedziałby tylko o swem własnem życiu, a nie mógłby wglądać w życie faktów innych, tak samo, jak żaden człowiek nie potrafi dojrzeć tego, co się dzieje w głębi duszy innych ludzi.

Ribot [1]), widząc te trudności, ucieka się do hipotezy pomocniczej. Jeżeli rozmaite stany świadomości, łącząc się harmonijnie razem, tworzą jaźń jedną, to musi istnieć jakaś rzecz, która je łączy. Wszakże tą rzeczą — powiada — nie jest duch, bo ducha niema; tym łącznikiem może być tylko materya, a mianowicie organizm. Bourdeau [2]), trzymając się zasadniczo tego samego poglądu, mniema, że każda komórka nerwowa, a nawet każda komórka ustroju posiada swą własną świadomość, acz słabą, przyćmioną i bierną. Jedność jaźni powstaje przez to, iż wszystkie świadomości elementarne zlewają się w tym samym ośrodku, tworząc jedną świadomość pełną, jasną i czynną.

---

[1]) Les maladies de la personnalité, wyd. 8, Paryż 1899. str. 95 i nn.

[2]) Problème de la mort, str. 92 i n.

Materya ustroju ma być podściółką i ostoją stanów świadomych, które tworzą jedność jaźni! Czy to możliwe? Najpierw wszelki organizm podlega bez przerwy wymianie materyi, gdy nasze „ja“ pozostaje, póki żyjemy, to samo. Jakżeż więc zmienna materya może służyć za oparcie dla trwałej jaźni? Powtóre jak może jedność jaźni świadomej wyłonić się z materyi, skoro materya składa się z wielu części? Kombinujcie, jak się wam podoba, pierwiastki materyalne; możecie je związać w pewną całość, w której jeden atom zajmie miejsce obok drugiego, ale nigdy z tego mnóstwa nie wyrośnie jedna świadomość. Nie więcej wart pomysł pana Bourdeau. Skąd on wie, że każda komórka jest obdarzona choćby małą świadomością i że wszystkie komórki zespalają się w ośrodku wspólnym? Skąd się biorą świadomości, a więc stany psychiczne komórek, skąd najszlachetniejsze objawy rozumu i woli przynajmniej owego głównego ośrodka, skoro niema duszy, różnej od ciała? Czyżby życie psychiczne drzemało w każdym atomie, jak marzą wbrew wszelkiemu doświadczeniu i wszelkiej nauce panpsychiści? Jak się wytworzyła jedność systemu nerwowego wraz z jednością całego ciała, jeśli nie było wpierw jednej zasady życiowej? Przyjąwszy taką zasadę, łatwo zrozumieć celowy rozwój ustroju, oraz jedność urzeczywistniającego się w nim planu, ale bez niej stajemy przed nierozwiązalną zagadką. Jak przygłuszone świadomości komórek, będące według autora „małemi duszami“ o samoistnym bycie i samoistnem działaniu, mogą się utożsamiać w jednej świadomości całkowitej? Co więcej, bez jednej zasady życiowej nawet żadna komórka nie będzie miała istotnej jedności.

Możnaby jeszcze powiedzieć, że jedność jaźni jest tylko płodem myśli, która w celach praktycznych układa i porządkuje fakta psychiczne. Lecz właśnie myśl, dokonywająca tego ułożenia i uporządkowania, musi razem ze wspomnianymi faktami pochodzić od jednego rzeczywistego podmiotu. W przeciwnym razie wciągalibyśmy w ową logiczną syntezę także te zjawiska, które do nas nie należą. Tymczasem każdy myślący człowiek odróżnia najdo-

skonalej siebie od otaczającego go świata. Klasyfikujemy również zjawiska zewnętrzne, atoli nie wcielamy ich do swej jaźni; owszem, mamy najsilniejsze przekonanie, że one są jej obce, że istnieją poza nią i stoją do niej w pewnem przeciwieństwie.

Obok jedności przysługuje jaźni trwałość, czyli stała tożsamość. Choć już przed chwilą wspomniałem o tym przymiocie, muszę się nim zająć dłużej, by go *ad oculos* pokazać, uzasadnić i przed atakami przeciwników obronić.

Moje zjawiska psychiczne zmieniają się, jak obrazy kalejdoskopu. Raz doznaję tych wrażeń, drugi raz innych, raz się cieszę, drugi raz smucę, raz chcę tego, drugi raz całkiem czego innego, raz myślę o tym, drugi raz o zupełnie innym przedmiocie. Ubiegłe stany i czynności nie powracają nigdy w psychicznej historyi mojego żywota. A jednak widzę w sobie coś, co mimo tych zmian trwa ustawicznie. Ja, które było wczoraj, utożsamia się istotnie z tem, które jest dzisiaj. Tyle nocy przespałem bez żadnej świadomości o sobie, wszelako ile razy przebudziłem się rano, tyle razy czułem, że pozostałem sobą samym. Tyle lat przeżyłem, tyle kolei przeszedłem, tyle stanowisk zajmowałem, a jednak mam głębokie przekonanie wewnętrzne, że od młodości aż do dnia dzisiejszego, jestem bez przerwy tą samą osobą. Świadomość mi donosi o „ja" obecnem; pamięć przypomina mi z różnych czasów „ja" dawne; rozum, porównywając obydwa „ja", wydaje sąd o ich tożsamości. Dzisiejsze moje „ja" nie jest wprawdzie takie samo, jakie było dawniej, ale jest liczebnie to samo.

Jaźń moja — to skała granitowa, osadzona na brzegu rzeki: fala po fali koło niej płynie, a ona stoi, jak stała. Bez trwałej jaźni nie mógłbym wiedzieć o zmienności i następstwie swoich zjawisk psychicznych. Kto bowiem spostrzeże, że przed chwilą się smuciłem, a teraz się cieszę, gdy niema stałego świadka tych dwóch różnych stanów? Jeśli nikt nie stoi na brzegu rzeki, woda płynie w niej niewątpliwie, ale brakuje widza, któryby o tem wiedział [1]).

---

[1]) Por. Dr. A. Pfänder, Einführung in die Psychologie. Lipsk 1904, str. 203 i nn.

Bez trwałej tożsamości jaźni rozsypałoby się w gruzy moje życie, a mój sposób mówienia byłby co chwila niezgodny z rzeczywistością. „Jeżeli niema — powiada Balmes [1]) — jednego i tego samego *ja*, natenczas myśl dzisiejsza nie wiąże się niczem z myślą wczorajszą: są to dwie rzeczy różne, może sprzeczne z sobą, istniejące w różnych czasach. Gdy w tej hipotezie mówię: *ja* myślę — z pretensyą stwierdzenia, że to *ja* jest to samo, co *ja* w zdaniu: myślałem wczoraj, język mój jest niedorzeczny. Jeśli istnieją tylko zjawiska, tj. dwie myśli bez spajającego je węzła, wówczas *ja* jest niczem; nie mogę powiedzieć: *ja* myślałem lub myślę, lecz tylko: była myśl lub jest myśl".

Bez ciągłości jaźni nie mógłbym ani pamiętać, ani przypomnieć sobie tego, co robiłem przed tygodniem, przed rokiem, przed kilkudziesięciu laty, a przecież nie tylko świeże fakta, lecz także wypadki dawno minionej przeszłości stoją mi żywo przed oczyma duszy. Mogę przytoczyć mnóstwo szczegółów, należących do mojej najwcześniejszej młodości, a nawet do mego dzieciństwa. Pamiętam doskonale domy, w których mieszkałem, osoby, z któremi się stykałem, zajęcia, które spełniałem, radości i smutki, których doznawałem. Żyje więc we mnie świadek, który patrzył na całe pasmo mojego żywota i wiąże razem wszystkie jego części. (C. d. n.)

X. Dr. K. Wais.

Michał Sędziwoj alchemik polski XVII. w.

I.

Żeglarz holenderski Jakób Hanssen rozbił się z okrętem podczas lata 1601 r. około wybrzeża Szkocyi, niedaleko miejscowości Fyrth of Forth, w blizkości Seatown, na wschód od Edynburga. Nad rozbitkami ulitował się właściciel wybrzeża, przy którem nastąpiła katastrofa, otoczył ich opieką i dopo-

[1]) Philosophie fundamentale, tłum franc. Manec'a, Paryż 1852, t. III., str. 176.

mógł Hanssenowi oraz jego towarzyszom do naprawy żaglowca; zwłaszcza Hanssenowi okazywał tyle życzliwości, iż tenże wymógł na swym dobroczyńcy, że przyjedzie w odwiedziny do niego do Enkhuysen nad Zuydersee w Holandyi. Jakoż roku następnego zawitał do Enkhuysen wybawca i przyjaciel szkocki. Zwał się on Aleksander Setonius, a że pochodził ze Szkocyi, więc pełna jego nazwa brzmiała: Aleksander Setonius Scotus, a niekiedy sam podpisywał się krótko: Cosmopolitanus. Nazwisko Setona przekręcano najrozmaiciej, zwiąc go to Sethoniusem, to Sitoniusem, Sidoniusem, Sutoneusem, Suchtoniusem, a nawet Suchtheniusem. Niema również pewności, czy nazwisko Setonius było rodowe, czy też, co prawdopodobniejsze, wzięte było od miejsca pochodzenia, od wspomnianej miejscowości Seatown (czytaj: zitaun) w Mid-Lothian.

W czasie pogadanek przyjacielskich zdradził się przybysz szkocki, iż posiada sztukę uszlachetniania podlejszych metali; kiedy zaś Hanssen wyraził się dość powątpiewająco o tej sztuce, naznaczył mu Seton dzień 13. marca 1602 roku na godzinę 4-tą po południu i w oznaczonym czasie dokonał w oczach Hanssena przemiany ołowiu w złoto. Hanssen zwierzył się z tym faktem przed kilku zaufanymi przyjaciółmi, między innymi i przed swym lekarzem domowym Drem Van der Linden. Wnuk tego lekarza Johann Antonidas van der Linden żył później jako lekarz w Amsterdamie i opowiadał całe to zajście i złoto sztucznie otrzymane pokazał Drowi Jerzemu Morhofowi, który czyni o tem wzmiankę w swem dziele[1]).

Z Enkhuysen udał się Seton do Amsterdamu i Roterdamu, skąd morską drogą odbył podróż do Włoch. Nie długo tam jednak bawił, bo już w następnym roku (1603) wraca z Włoch w towarzystwie Dra Jana Wolfganga Dienheima, profesora obojga praw i medycyny z Fryburga w Bryzgowii. Dienheim opisał w następujący sposób swe zapoznanie się z Setonem[2]):

---

[1]) P. Dr. G. Morhofi: De transmutatione metallorum. Epistola ad Langelottum, p. 148 n.

[2]) P. Dr. J. Wolfgang Dienheim: De universali medicina. (Argentorati. 1610) cap. 24 — przedrukowane w książce: Dreifache chemische Fackel. (Nürnberg. 1674) in 8.

„Kiedy w r. 1603 w lecie powracałem z Rzymu do Niemiec, przyłączył się po drodze do mnie mężczyzna już nieco starszy, rozumny i nad wyraz skromny, małego wzrostu, lecz dobrze odżywiony, o czerstwym wyglądzie twarzy i wesołego usposobienia, z brodą o barwie kasztanów i przyciętą na modę francuską, w sukni czarno jedwabnej i obramowanej, mający w towarzystwie służącego, którego po rudych włosach i brodzie można było poznać wśród tysiącznego tłumu. Nazywał się ten mąż, o ile prawdę powiedział, Aleksander Setonius. W Zurychu, gdzie mu proboszcz Eghlin dał list do doktora Zwingera w Bazylei, najęliśmy okręt i wodą odbyliśmy podróż do Bazylei. Kiedyśmy w gościnę stanęli pod „złotym łabędziem“, odezwał się do mnie mój towarzysz: „Przypomnij sobie Pan, jak podczas całej naszej podróży, a szczególnie na okręcie, naśmiewał się Pan z alchemii i pokpiwał z alchemików i że przyrzekłem odpowiedzieć na to nie zapomocą filozoficznych dowodów, ale zapomocą filozoficznego faktu. Nim zajdzie słońce, dotrzymam danego słowa. Czekam tylko na kogoś, kogobym wraz z Panem mógł mieć świadkiem przedstawienia, iżby przeciwnicy tem mniej mogli powątpiewać o prawdziwości rzeczy“. Następnie poproszono pewnego obywatela, znanego mi tylko z widzenia, a który niedaleko mieszkał od „złotego łabędzia“. Później dowiedziałem się, że był to Dr. Zwinger, którego rodzina liczy tylu sławnych badaczów przyrody. Dr. Zwinger przyniósł z sobą kilka płytek ołowiu. Zabraliśmy po drodze tygiel do topienia od złotnika i zwykłej siarki, kupionej po drodze. Aleksander nie dotknął żadnej z tych rzeczy, kazał tylko rozpalić ogień, wrzucić po kolei ołów i siarkę, założyć mieszek i mieszać masę. Podczas tego żartował z nami. Po kwadransie rzekł: „Wrzućcie teraz ten mały list do roztopionego ołowiu, ale dobrze do środka, a nie obok na ogień“. W papierze zawierał się ciężki, tłusty proszek. Miał on wygląd żółtawy, jak cytryny, ale trzeba było rysich oczu, aby go dojrzeć na końcu noża. Zrobiliśmy, jak nam polecił, chociaż nie dowierzaliśmy bardziej jak Tomasz. Kiedy masa gotowała się jeszcze z kwadrans i zapomocą rozpalonego żelaza ją wymieszano, musiał złotnik wylać ją z tygla. Lecz oto nie mieliśmy już ołowiu, tylko złoto najczystsze

przewyższające zdaniem złotnika złoto węgierskie i arabskie. Ważyło zupełnie tyle, ile przedtem ołów ważył. Stanęliśmy tedy, spoglądając jeden na drugiego, zaledwo dawaliśmy wiarę naszemu wzrokowi; on tymczasem śmiał się i szydził: „Pokażcież mi teraz wasze szkolne szalbierstwa i dysputujcie podług waszego upodobania! Tu widzicie prawdę rzeczywistą, a ta wyższa jest ponad wszystko, nawet ponad wasze syllogizmy“. Następnie kazał odciąć kawałek złota i darował na pamiątkę Zwingerowi. Także i ja otrzymałem kawałek wartości niemal czterech dukatów, a który zachowuję na pamiątkę tego niesłychanego widowiska“.

Z Bazylei udał się Seton do Strassburga. Kiedy się go zapytał gospodarz, u którego stanął, o nazwisko, odpowiedział mu, że jest studentem poszukującym kogoś, ktoby mu powiedział, czem jest materia prima, z której świat został zrobiony. W Strassburgu zapoznał się Seton z Filipem Jakóbem Güstenhöverem, zwanym krótko: Gossenhauerem, a który był obywatelem miasta i złotnikiem. Seton często bawił w jego pracowni, za co dał mu w darze nieco proszku czerwonawego i pouczył go, jak się ma z nim obchodzić. Güstenhöver pochwalił się przed znajomymi, iż potrafi zrobić złoto z innego metalu i rzeczywiście dokonał tej sztuki wobec kilku osób. Z ust do ust podawano sobie nowinę, że Gossenhauer umie robić złoto, aż nareszcie ktoś doniósł o tem do Pragi, gdzie cesarz Rudolf II. również czynił próby alchemiczne, lecz bezskutecznie. Zaraz nadszedł z Pragi rozkaz, aby rzecz zbadano dokładnie. Rada Strassburga wysłała samego syndyka Dra Hartlieba, pisarza Juntha i radcę miejscowego Kohllöffela do Güstenhövera, aby go przesłuchać i zdać cesarzowi sprawę. Güstenhöver musiał trzykrotnie robić próby, — zamieniając w złoto kule ze strzelb w tygielkach, które każdy komisarz sam przynosił, przyczem każdemu dał po ziarenku proszku. Smutnie się to skończyło, bo Güstenhövera zawezwano do Pragi, gdzie mimo wszelkie zaklinania, iż już proszku nie posiada i nie może robić złota z ołowiu, został zamknięty w wieży i trzymany tam do śmierci, bo cesarz podejrzywał go, że tylko nie chce zdradzić swej tajemnicy. Kiedy umarł Kohllöffel, wdowa po nim wyszła za Glasera, który w roku

1647 pokazywał owo sztuczne złoto w Monasterze komisarzom francuskim i niemieckim, obradującym nad warunkami pokoju westfalskiego, o czem wiadomość zostawił Dr. Jan Jakób Heilmann w swem dziele[1]). Na wieść o przygodzie Güstenhövera umknął Seton do Frankfurtu, gdzie występował w charakterze hrabiego francuskiego i był o wiele ostrożniejszy. Zawarł tutaj znajomość z kupcem Kochem, a widząc w nim człowieka wykształconego, ściślej się z nim zaprzyjaźnił i dokonał wobec niego transmutacyi, o czem Koch zaraz udzielił wiadomości listownie Teobaldowi Hoghelandowi w następujących słowach: „W Offenbach (miejscowość tuż obok Frankfurtu) przebywał dłuższy czas alchemik jako hrabia, który kupował u mnie rozmaite materyały i przed swym odjazdem pokazał mi transmutacyę, albo raczej kazał mi ją zrobić samemu tak, iż on sam wcale do tego nie przykładał ręki. Dał mi ciemno-czerwonego proszku, który na mojej ważce do złota miał trzy grany. Wysypałem go na dwa łuty żywego srebra w tyglu. Następnie napełniłem tygiel potażem mniej więcej do połowy i wystawiłem tygiel zrazu na łagodny ogień. Napełniłem potem piecyk węglami aż ponad tygiel tak, że był wystawiony przez jakie pół godziny od początku do końca na silny ogień. Kiedy tygiel był już mocno rozpalony, kazał mi do niego rzucić kawałek wosku żółtego, aby wzmocnić barwę, com też uczynił. Kiedy po chwili wyjąłem tygiel i rozbiłem go, ukazał się na jego dnie kawałek złota, ważący 6 kwint i 6 gramów. W mojej obecności przetapiał go jubiler pięć razy i następnie poddał go próbie, która wykazała, że kawałek ma 23 karatów 15 gramów doskonałego złota o szczególnie silnej barwie. Z połowy tego złota kazałem sobie zrobić spinkę do koszuli. Gdybym sam nie był tego wszystkiego robił, nie byłbym wierzył, że rtęć, jako metal płynny, może być użyty do powyższego celu“ [2]).

[1]) Dr. Joh. Jak. Heilmann: Teatrum chemicum. 1661. (t. VI.).

[2]) Ten list umieścił Tomasz von Hoghelande w przedmowie do swego traktatu: Historiae aliquot transmutationum metallicarum, a również lekarz frankfurcki Dr. Burggraf wspomina o tem w swych Novellis Actorum physico-medicorum. Observ. 79.

Z Frankfurtu przeniósł się Seton do Kolonii i w kilka dni po swem przybyciu posłał na rynek swego służącego Williama Hamiltona, aby się głośno rozpytywał, czy jest kto w Kolonii znający się na sztuce destylowania, lub czy przypadkiem niema jakiego alchemisty. Zapytywani wskazywali mu dom Antoniego Verdemanna, który się trudnił alchemią. Zaraz udał się Seton do niego, a ponieważ alchemik dobre na nim zrobił wrażenie, najął u niego mieszkanie, gdzie zabawił kilka tygodni. Dnia 5-go sierpnia wszedł do jednej z aptek kolońskich jakiś obcy człowiek i zażądał lapis lazuli; kiedy mu pokazano kilka sztuk, zganił je jako lichy towar. Aptekarz przyrzekł mu dostarczyć lepszego materyału, jeżeli zechce przybyć nazajutrz. W tyle za ladą stali goście, wśród nich właściciel apteki Rajmund z pewnym zakonnikiem. Rozmowa toczyła się o tem i owem, a że wieści o zdarzeniu frankfurckiem doszły do Kolonii, więc też zaczęto mówić o alchemii. Pewien gość wyrażał się bardzo sceptycznie o wartości alchemii. To obruszyło przychodnia, który dotąd spokojnie się przysłuchiwał rozmowie głośno prowadzonej i odezwał się, że nie wszystko jest kłamstwem, co napisano o alchemii. Na to goście parsknęli śmiechem, a przybysz wyszedł z apteki mocno wzburzony. Nazajutrz znów przyszedł do apteki i zażądał vitrum antimonii. Kiedy towar mu pokazano, zaczął go ganić, że jest źle i niefachowo wykonany i że chętnie dostarczy innej sztuki, jeśli tylko gospodarz pozwoli mu popracować przy swym miechu. Aptekarz chętnie się na to zgodził i posłał starszego syna z przybyszem; obaj udali się do złotnika Jana Löhndorfa, który mieszkał obok kościoła św. Wawrzyńca. Syn aptekarza wziął z sobą nieco antymonu. Złotnik oddał im z ochotą swój miech i tygiel. Rozpalono ogień, syn aptekarza rzucił antymon do tygla, a po pewnym czasie nieznajomy kazał mu dorzucić do masy roztopionej kilka ziarenek proszku, starannie w papier zawiniętego, poczem nieznajomy kazał wyjąć tygiel z ognia i wylać masę. Jakież było zdziwienie złotnika i tych wszystkich, którzy się przypatrywali całej robocie, kiedy zaraz miasto antymonu ujrzeli złoto najczystsze. Zwrócono się do nieznajomego, ażeby pozwolił odbyć jeszcze jedną próbę, na co tenże chętnie przy-

stał. Löhndorf, który się dorozumiewał, kogo ma przed sobą, postanowił dorzucić potejemnie nieco cyny do ołowiu w nadziei, że próba zawiedzie i będzie można wykazać nieznajomemu szalbierstwo. Nieznajomy udał, że nie domyśla się podstępu, kazał do masy roztopionej dorzucić proszku, i oto znów uzyskano czyste złoto, dające się kuć i wyciągać w delikatne nitki. Złotnik poddał je próbie ogniowej, to znów użył wody królewskiej, wszystkie próby stwierdzały, że otrzymany z tygla metal jest czystem złotem. W ten sam sposób dowiódł Seton, bo on to był owym nieznajomym, chirurgowi kolońskiemu, zwanemu Meister Georg, a wielkiemu i głośnemu przeciwnikowi achemii, że alchemia może zamieniać metale nieszlachetne w złoto, a szczegóły te dokładnie opisał wspomniany już Teobald van Hoghelande, który podówczas znajdował się w Kolonii[1]).

Z Kolonii podążył Seton do Hamburga, lecz krótko tam zabawił, bo wybrał się do Monachium. Po drodze do Monachium zatrzymał się w Helmstadt, gdzie profesor filozofii Cornelius Martini (†1621 r.) często w swych wykładach czynił wycieczki przeciw alchemikom. Seton udał się na jego wykłady w charakterze gościa, a kiedy Martini zaczął rozprawiać o alchemikach, oświadczył Seton, że się musi sprzeciwić wywodom mistrza i to w imię doświadczenia. Na dowód czego poprosił, żeby mu dostarczono tygla, węgli i mieszka, a kiedy się to stało, polecił jednemu z obecnych dorzucić na rozpalony tygiel bryłkę ołowiu; otrzymawszy po dorzuceniu proszku czyste złoto, zawołał Seton, pokazując je profesorowi, tryumfująco: „Solve mihi hunc syllogismum"! O tym fakcie wspomina Zwelffer w swem dziele[2]) i nadmienia, że od owego czasu Martini zmienił sąd o wartości alchemii.

W Monachium zapragnął Seton ozłocić swoje życie i zakochał się w córce tamtejszego obywatela Rokoscha i uprowadził ją do Saksonii, bo tam go spotykamy w roku 1603 na

---

[1]) Por. jego: Historiae aliquot Transmutationum metallicarum pro defensione Alchymiae contra hostium rabiem. Coloniae. 1604. in 8°. fol. 25.

[2]) Por. Zwelffer: Pharmacopaea Regia. Vindobonae 1652. in 4°, w dodatku: Mantissa spiragira, str. 329.

zamku Crossen, należącym do elektora saskiego Chrystyana II. W obecności elektora i jego dworu dokonał służący Setona czy też może adept alchemii William Hamilton próby przemiany ołowiu w złoto, poczem Hamilton pożegnał się z mistrzem, otrzymawszy od niego nieco proszku. Seton pozostał jeszcze w Saksonii, zapominając o przestrodze, jaką mu dał w Kolonii chirurg Meister Georg, iżby się nie popisywał ze swą sztuką publicznie, bo może za to srogo odpokutować. — Przestroga okazała się słuszną. Seton mniemał, że nie może znaleźć miejsca bezpieczniejszego, jak w Saksonii, gdzie młody elektor okazywał mu życzliwość nadzwyczajną. Kiedy atoli elektor nie zdołał łaskami wydobyć z Setona tajemnicy alchemicznej, przeszedł do gróźb i kazał go uwięzić. Nie dość było mu pozbawić Setona wolności, kazał jeszcze użyć tortur, jednak bezskutecznie, bo Szkot zaciął się i ani słówkiem niczego nie zdradził. Pozostawiono go więc w więzieniu, a kiedy rany z tortur zagoiły się nieco, znów go brano na tortury nowe, wykręcano mu członki, przypalano boki, lecz wszystko napróżno. Trzymano tedy dalej Setona w wilgotnem i pełnem robactwa więzieniu w nadziei, że przecież uda się wydrzeć mu tajemnicę.

W tym czasie zjawił się na dworze elektora szlachcic polski Michał Sędziwoj [1]).

Michał Sędziwoj (inaczej Sendivogius i Sendigovius) urodził się w r. 1566 w okolicy Sącza z ojca Jakóba Sędzimira (Sendimirius) i matki żydówki. Ojciec jego naturalny zajął się nim i dbał z wielką starannością o jego wykształcenie. Nauki pobierał zrazu w kolegium Jezuitów w Warszawie, a następnie w uniwersytecie krakowskim. W czasie studyów, do których się przykładał z wielkim zapałem, wpadły mu w rękę książki Arnolda de Villa Nova, poświęcone chemii i alchemii Ów Arnold urodził się w r. 1235 w Villa-Nova w Katalonii; odbył studya filozoficzne i lekarskie w Barcelonie i jakiś czas tam nauczał, zyskując sobie sławę rozgłośną znakomitego le-

[1]) Szczegóły życiorysu Setona zob. w Geschichte der Alchemie von Karl Christoph Schmieder, Doktor der Philosophie und Professor zu Kassel (Halle 1832, Verlag der Buchhandlung des Waisenhauses) str. 326—345.

karza i filozofa. Duchowieństwo atoli katalońskie miało go w podejrzeniu i zarzucało mu brak prawowierności tak, że Arnold musiał uciekać do Francyi, gdzie zaczął w Paryżu wykładać nauki przyrodnicze. Lecz i tu zrobiono go nie tylko heretykiem, ale posądzono nadto o wdawanie się z djabłem, wskutek czego Arnold opuścił potajemnie Paryż i przeniósł się do Montpellier w r. 1260, skąd po pewnym czasie podążył do Rzymu, Bolonii, Florencyi i Neapolu. Król neopolitański wysłał go do papieża, ale w czasie podróży morskiej do Awinionu, gdzie rezydował Klemens V., rozbił się okręt i Arnold znalazł śmierć w falach morskich 1312 roku. Był on na swe czasy zawołanym chemikiem; między innemi podał sposób robienia wyskoku winnego, sporządzania rozmaitych olejków, wody królewskiej itp. Jako zwolennik kultury arabskiej z dzieł arabskich zaczerpnął wielki zapał do badań i eksperymentów alchemicznych. Wierzył, że istnieje kamień filozoficzny, zapomocą którego można 100 części rtęci przemienić w złoto, a z owego kamienia sporządzony napój posiada moc nie tylko uzdrawiania chorych, lecz i odmładzania starych ludzi. Żywe srebro ma według niego być metalem zasadniczym, a wszystkie inne z niego pochodzą. Pozostawił mnóstwo pism, jak: Rosarius philosophorum, Lumen novum, Perpetuum magisterium, Lumen luminum, Speculum Alchymiae, Quaestiones de arte transmutationis metallorum tam essentiales, quam accidentales, cum responsionibus ad Bonifacium VIII. i wiele innych, które wylicza Mangeti w swej Bibliotheca T. I. Nr. 46. (C. d. n.) *X. Dr. Fr. Cabryl.*

My akademicy a Kościół.

Katolicy niemieccy rozczytują się obecnie z wielkiem uniesieniem i zachwytem w ogłoszonej przez wszystkie poważne pisma katolickie najnowszej enuncyacyi ks. bpa dra Faulhabera (ze Spiry). Znakomity ten książę Kościoła i prawdziwie z Bożej łaski pisarz i mowca, co już niejednokrotnie dowiódł, że umie pogodzić wyrozumiałość dla nowoczesnych prądów i potrzeb ze stanowiskiem ściśle kościelnem i ma

szczególny dar przemawiania do ludzkości dzisiejszej właściwym jej językiem o odwiecznych i niezmiennych prawdach wiary świętej, zaproszony przez katolicki wydział akademicki w Monachium, by wygłosił odczyt o stosunku człowieka z dzisiejszem wykształceniem akademickiem do Kościoła, wygłosił w d. 5. lutego rb. w Monachium znamienną mowę w właściwy sobie świetny sposób. Mowa ta wywarła olbrzymie wrażenie i bez wątpienia jeszcze długo będzie oddziaływać potężnie.

Podajemy tę znamienitą enuncyacyę biskupią do wiadomości naszych Szanownych Czytelników w przekładzie — piękności oryginału w szczegółach niestety trudno oddać w polskiej przeróbce — w nadziei, że będzie ona miłą i pożyteczną lekturą. Pragniemy przedewszystkiem przysłużyć się Szanownym XX. Profesorom szkół średnich, którzy mogliby z wielkim skutkiem skorzystać z myśli w niej zawartych, a zwłaszcza w mowach pożegnalnych do abituryentów, udających się na uniwersytet:

„Kto się z pola patrzy na witraż w oknie kościelnem, temu wydaje się on gmatwaniną linii i kolorów. Przechodzień, który pobieżnie w czasie spaceru spojrzy na takie okno, na widok tych farb i figur tajemniczych nic sobie nie pomyśli. Ale kto wstąpi do świątyni i z odpowiedniego miejsca zacznie badać obraz w oknie, temu ów pozornie bezmyślny chaos, który zdawał się jedynie tamować przystęp światłu, odrazu się przedstawi jako arcydzieło sztuki pełne żywej gry kolorów i najpiękniejszej harmonii. Konwertytka Ingeborg Magnussen w tem porównaniu Kościoła z kolorowem oknem kościelnem wyraziła pojęcia o Kościele katolickim, jakie miała przed konwersyą i po niej. Dla wielu, wielu innych obraz ten optyczny stał się faktem psychologicznym. Kto Kościół zna tylko „z pola“ i sądzi o nim tylko z pobieżnej obserwacyi spacerowej, temu się on nieraz wydaje demoniczną karykaturą o cudacznie pstrych kolorach i zawiłych figurach, negacyą Ewangelii i zdrowego rozumu, jakąś camera obscura zabobonu i fanatyzmu, kaudyńskiem jarzmem wolności osobistej. Ale kto wejdzie do świątyni i usadowiwszy się w niej należycie, bliżej się rozejrzy po wszystkiem, ten z radością w duszy pozdrowić musi ten sam Kościół jako arcydzieło Boże o cudownej harmonii barw, jako

akademię Objawienia, jako „filar prawdy“ i zbawczą arkę porządku religijnego i społecznego. Ci, co stoją poza Kościołem, nie mogą zrozumieć, jak może człowiek rozumny z akademickiem wykształceniem być pobożnym i dobrym synem Kościoła katolickiego, nam zaś trudno pojąć, jak człowiek rozumny, który zna jako tako Ewangelię i dzieje kultury chrześcijańskiej, może być wrogiem Kościoła i sojusznikiem „kulturkämpferów“.

Kościół jest zorganizowaną formą Królestwa Bożego, przeznaczonym dla świata całego domem rodzinnym Odkupionych w Chrystusie, zjednoczonych jednością wiary i życia z wiary pod jednym widzialnym gospodarzem tego domu, którym jest biskup rzymski. Kościół jest najbardziej konkretnem ujęciem religii pozytywnej. Religia ogólnikowa i bezprzymiotnikowa jest pojęciem ogromnie szerokiem i elastycznem, które można zastosować tak dobrze do Buddystów i pielgrzymów z Mekki, jak do członków armii zbawienia, gdy wiecznie swoje Alleluja nucą. Kościół zaś i przynależność do Kościoła nadają pojęciom religii i religijności nie tylko zdecydowane zabarwienie wyznaniowe, lecz także ostre kontury zwartej organizacyi. Kościół jest przystanią handlową, w której zarzucają swe kotwice okręty z całego świata z flagami o wszystkich możliwych barwach, ale Kościół jest też portem wojennym, do którego wolno zawinąć tylko okrętom o ściśle oznaczonych flagach i umówionych hasłach. To „distinguo“ jest też odpowiedzią na sporną od pewnego czasu kwestyę, czy można mówić o rozbudzeniu się dzisiejszej ludzkości pod względem religijnym. Nasze czasy lubią się stroić w pozory religii — aż do desek sceny teatralnej — są to pozory religii ogólnikowej z zatartymi konturami. Natomiast w zrozumieniu religii jako ujętej w formy Kościoła, czasy obecne idą raczej decrescendo, po linii pochyłej. Być religijnym nie jest rzeczą niemodną, ale należeć do Kościoła, jest czemś okropnie niemodnem.

Kościół jest tematem wiecznie aktualnym. Jedni nie mogą się zdobyć na otwartą przynależność do niego, drudzy natomiast doznają w sobie ciągle tych procesów duszanych, których koniec jest — konwersyą, pod natchnieniem

onego słowa jasnego jak słońce: „Ty jesteś opoką i na tej opoce zbuduję Kościół mój“. Konwersacya religijna, zarówno w warstatach i restauracyach, jak w klubie i salonie, bądź wprost bądź pośrednio kończy się przy temacie „Kościół“, bo każda specyalna kwestya katolickiego światopoglądu nierozerwalnie z Kościołem się łączy. Kościół jest ową „universitas“ naszego światopoglądu, a drogi debat religijnych w końcu wszystkie wiodą do Rzymu. W studyach akademickich również nie brak linii łączących uniwersytet z Kościołem. Pominąwszy teologię — filozof co krok będzie przekraczał drogi historyi kościelnej przy badaniach historycznych, prawnik zaś spotka się co chwila z prawem kościelnem, a medyk rad nie rad w niejednej kwestyi fachowej będzie musiał zająć stanowisko wobec nauki o moralności katolickiej. Zatem Kościół dla akademika nigdy nie przestanie być tematem aktualnym.

To też ucieszyło mnie to bardzo, gdy monachijski wydział akademicki, któremu powierzyłem wybór tematu, przedstawił mi właśnie ten temat: studenci akademicy a Kościół. W krótkim tym czasie nie mogę naturalnie zająć stanowiska wobec wszystkich kwestyi kościelnych — na to nie wystarczyłoby kolegium akademickie o 5. godzinach tygodniowo.

Najnowsze dzieło fachowe *De ecclesia* X. Straub'a T. J. ma dwa tomy po 500 i 911 str. Mojem zadaniem może tedy być tylko to, by się zająć po krótce tymi *konfliktami, które trapią nowoczesnego człowieka, zwłaszcza zaś civem academicum, jak tylko zacznie myśleć o Kościele i jego składnikach logicznych i etyczno-praktycznych konsekwencyach.* Wznosząc budowę argumentów, które mają być afirmacyą praw Kościoła, a nas mają usposobić przychylnie i radośnie dla niego, będę się starał trzymać akademickich zakresów myśli i życia, a nawet tok myśli ułożę, że tak powiem, podług wydziałów, mianowicie podług *teologicznych, historycznych i społecznych imperatywów światopoglądu katolickiego.* Zdaje mi się, że znam trochę psychę studencką. Na dzisiejszą młodzież działają najrozmaitsze wpływy i okoliczności: akademik jest o tyle w lepszem położeniu, że wobec majestatu litery drukowanej, który tak

wielce imponuje n. p. robotnikowi, akademik przecież już krytyczniejsze może zająć stanowisko i łatwiej spotrzeże wielkie zero w frazesach ulicznej demagogii. I to także jest ważne, że człowiek wykształcony posiada więcej poczucia prawa i ma zdolność sądu jurystycznego i dlatego więcej zrozumienia dla aparatu administracyi kościelnej z ciałem urzędników hierarchicznych, z taksami i innemi tego rodzaju urządzeniami, które każdy uzna za potrzebne, skoro tylko pozna, że Kościół jest samodzielnym organizmem socyalnym. O momentach nie korzystnych i negujących Kościół w życiu akademickiem, niestety liczniejszych aniżeli czynniki pomyślne, będzie mowa poniżej. My akademicy nie powinniśmy żyć w rozterce z naszym Kościołem; w razie konfliktu poszkodowanymi bylibyśmy *my*, nie Kościół.

Pierwszy imperatyw teologiczny katolickiego światopoglądu nazywa się *dogmatem*. Dowiedzioną jest rzeczą, że Kościół Apostolski otrzymał od Boga rozkaz, by nauczał narody, czyli, jak dobitniej mówi tekst grecki (Mat. 28, 19: μαθητεύσατε). by je uczynił uczniami swymi, wziął je do swej szkoły. Mówiąc po akademicku, Kościół ma to posłannictwo, by jako alma mater zapisał narody od wschodu do zachodu słońca do swego międzynarodowego liber matricularum i zgromadził je koło swej katedry w Auditorium maximum. Najuroczystszymi i najbardziej oficyalnymi przejawami tej misyi nauczycielskiej są dogmaty wydane ex cathedra. Dwanaście artykułów Składu Apostolskiego, to jeszcze nie są wszystkie dogmaty; z drugiej znowu strony nie wolno sobie rzeczy przedstawiać tak, jakoby się nowy dogmat rodził za każdym razem, jak tylko Papież tyarę na głowę bierze lub pieczęcią rybaka się posługuje. Dogmaty nie są tak liczne jak piasek nad morzem, ani też są zdarzeniami codziennemi, lecz faktami wiekowymi. O istocie dogmatu także trzeba mieć należyte pojęcie. Dogmaty są autorytatywnemi pouczeniami o faktach z świata nadprzyrodzonego, który jest poza sferą rzeczywistości naturalnych, jak n. p. o Trójcy świętej, o inspiracyi Pisma św., o rzeczach ostatecznych i t. p. — o faktach, któreby bez szczególnego objawienia pozostały dla umysłu ludzkiego światem nieodkrytym, albo przynajmniej nie tak

dobrze odkrytym. Ponieważ za każdym dogmatem stoi Kościół z pełnią swej powagi nauczycielskiej, dlatego każdy dogmat ma charakter imperatywu kategorycznego Odmówić swego „Credo" choćby tylko jednemu jedynemu dogmatowi, znaczyłoby tyle co zerwać z Kościołem.

Ale w tem właśnie tkwi pierwsza trudność dla nowoczesnej umysłowości: jak ja mam pozwolić, by mi ktoś tam dyktował w formie kategorycznej, w co mam wierzyć i komenderował mną w dziedzinie mych wierzeń? I jakże ma się poddać przymusowi szkolnemu jakiejś tam uczelni i to na całe życie — civis academicus, który sobie żyje bez przymusu chodzenia na te lub owe wykłady? Badacz, co szuka nowych ścieżek ad veritatem, doda jeszcze od siebie za Lessingiem: wolę zostać w ciemnościach, aniżeli pozwolić, by mi jakaś obca instancya miała prezentować na tacy gotową już i przezemnie nie odkrytą prawdę.

Nad bramą starego uniwersytetu w Würzburgu wykute jest w kamieniu zesłanie Ducha świętego na zwiastunów Ewangelii; nad bramą nowego uniwersytetu umieszczono natomiast rzeźbę Prometeusza, wypisując w ten sposób obrazowo w kamieniu ewangelię nauki, która opiewa: nie czekać nam, aż Zielone Święta przyniosą światło z góry, lecz jako on Prometeusz na własną rękę sami pójdziemy po ogień i przyniesiemy go sobie z góry.

Napięcie stosunku między nauką a dogmatem mogło nastąpić tylko w ten sposób, że ciągle i zawsze identyfikowano naukę z prawdą. Umysł ludzki pragnie ostatecznie — powtarzam, ostatecznie, — nie nauki, lecz prawdy. Nauka jest drogą do prawdy, ale nie jedyną drogą. Czy dana prawda będzie odkryta w drodze analizy chemicznej w laboratoryum lub w drodze badań historycznych, czy też w drodze dedukcyi matematycznej lub wreszcie w drodze definicyi kościelnej, to w gruncie rzeczy jest obojętne, bo to samo rzetelne szukanie prawdy, które mię zawiodło do akademii nauki, wiedzie mię także do akademii władzy nauczycielskiej Kościoła. Dziedzina badań naukowych jest jak świat szeroka, ale też jak świat ograniczona; jeśli tedy nauka zatrzymuje się u granicy rzeczywistości naturalnych, to czemużbyśmy musieli pogasić

swoje pochodnie i zawrócić z drogi ze zrezygnowanem Ignoramus na ustach? Czemużbyśmy mieli nie pozwolić, by nas Kościół wziął za rękę i poprowadził jeszcze dalej aniżeli ta nauka może, ponad szczyty i głębiny świata nadprzyrodzonego, jak Dantego prowadzi Beatrice? Do głębin Bóstwa nie wiedzie żadna ścieżka Prometeuszowa, a przecież duch ludzki rozpościera skrzydła do lotu i modli się: „Panie, prowadź mię ku takim prawdom, które niemi wiecznie są“. Każdy dogmat jest rozszerzeniem naszego widokręgu duchowego, jest rzutem oka w inny świat jasny, po za horyzontami nauki leżący, przeto jednak nie mniej realny jak t e n świat. Każdy dogmat jest zbogaceniem, nie zubożeniem ducha, jest przykazaniem, nie zakazem postępu duchowego.

Zresztą sposób, w jaki powstaje dogmat, nie jest wcale tak nieakademicki, jak się zdaje. Słuchacz uniwersytetu czy techniki powinienby najłatwiej zrozumieć różnicę między Kościołem uczącym a słuchającym. Wszak dzień w dzień siedzi u stóp jakiegoś nauczyciela i jeśli ma coś z usposobienia famulusa Faustowego, to pisze jego wykłady z taką sumiennością, „jak gdyby sam Duch swięty je dyktował“. Podobnie imperatyw posłuchu dla Kościoła nauczającego staje się dla człowieka dojrzałego na duchu optatywem osobistego szukania prawdy bez potrzeby przymusu szkolnego. Samodzielność myślenia nie doznaje żadnego skrępowania przed katedrą Kościoła nauczającego tak samo jak podobno nie bywa krępowaną przed katedrą nauki w uniwersytetach. Proszę pójść choćby raz na jakiś wykład teologii, aby zobaczyć, że n. p. umiejętność dogmatu katolickiego ma do czynienia z całym światem problemów. Na podstawie akademickiej metody nauczania można także łatwo zrozumieć, dlaczego Biblia nie może zastąpić żywego urzędu nauczycielskiego Kościoła. Księga nad księgami jest dla nas czemś bardzo wielkiem i czcigodnem, ale papiestwo z papieru nie może zrównoważyć papiestwa żywego. Całe nasze szkolnictwo od pierwszej klasy pospolitej aż do uniwersytetu jest monumentalnem uznaniem faktu, że i najlepszy podręcznik nie czyni zbytecznym nauczyciela, podobnie jak do biblioteki potrzebny jest jeszcze nauczyciel a do kodeksu cywilnego sędzia.

I jeszcze jeden argument do pierwszego imperatywu teologicznego. Życie naukowe żyje hipotezami. Wszystko, co w dziedzinie odkryć naukowych skropliło się w tezy, to niegdyś było hipotezą. Jeśli zaś życie naukowe żyje hipotezami, to życie religijne od hipotez umiera. Ludzkość potrzebuje dla swego życia religijnego skalnego gruntu pod nogami, potrzebuje dogmatów bez „gdyby“ i „może“, potrzebuje mocnych i trwałych tez, za które się i w ogień idzie. Sceptycyzmem i agnostycyzmem, filozofią powątpiewania i negacyi, świat długo żyć nie potrafi. Tylko silne dogmaty stwarzają silne narody. (C. d. n.)

Codzienna ofiara katechety.

(Ciąg dalszy).

Karność religijna. Między uczynkami miłosiernymi co do duszy wyliczamy: grzeszących upominać. Uczynek ten miłosierny musi nieraz katecheta wykonać, by się nie stał winnym grzechu cudzego: na grzech milczeć, grzechu nie karać.

Gdy jednak zajdzie konieczność wyznaczenia kary, niech dzieci widzą, że serce katechety — ojca duchownego — boli ta konieczność. Kara wtedy nie chybi celu. Świątobliwy pewien książę Kościoła opowiadał o sobie, że w młodych latach był prawdziwie utrapionym chłopakiem. Do każdej niedobrej sprawki musiał rękę przyłożyć. Przypadkiem podsłuchał rozmowę swego katechety z nauczycielem. Naradzali się z ojcowską troskliwością, jakich użyć środków na niepoprawnego ucznia. To go tak poruszyło, że odtąd zupełnie się zmienił.

O sposobie upominania pisze św. Franciszek Salezy: Nie ma nic bardziej gorzkiego, jak łupina niedojrzałego orzecha. Ale niema też nic pożyteczniejszego dla organizmu ludzkiego, jak ta sama łupina zaprawiona cukrem. To samo można powiedzieć o upomnieniach, które z natury swej są gorżkie i przykre, ale przejęte miłością, słodyczą serca zaprawione, stają się lekarstwem kojącem dla duszy.

Jeśli się okaże potrzeba karania, wychowawca winien karę wyznaczyć, ale z pewnem namaszczeniem. Sędzia świecki w sądzie ogłasza wyrok w Imieniu Jego Cesarskiej czy Królewskiej Mości... — Wychowawca naznacza karę nie w imieniu ziemskiego monarchy, lecz w imieniu Króla królów: Boga.

Niech się wzniesie do poziomu swej godności. Są rodzice i wychowawcy, którzy, zanim wymierzą karę, znaczą się znakiem krzyża lub odmawiają „Zdrowaś Maryo", każąc toż samo uczynić karconemu.

Nie jest to pozbawione racyi.

Czynność karcenia musi mieć właściwą w sobie powagę, nastrój.

Karzący winien pamiętać, że nie miałby mocy karcenia, gdyby mu ona nie była z góry daną. Karcony ma czuć, że ten, co go karci, czyni to z obowiązku i dla jego dobra.

Gdzie zaś odwołanie się do sumienia nie ma oddźwięku, tam kara nie tylko że nie osiągnie zamierzonego celu, lecz stanie się znienawidzoną torturą. Gdy sumienie jest należycie wykształcone, to kara wymierzona w właściwy sposób prędzej lub później przyniesie owoce. Kiedy zajdzie wypadek ciężkiego przewinienia, należy o tem zawiadomić rodziców i im pozostawić wyznaczenie i wykonanie kary. Rodzaje kar określa „Regulamin szkolny" [1]).

---

[1]) Regulamin szkolny dla szkół ludowych i pospolitych Królestwa Galicyi. Lwów 1909 § 83, str. 33.

Przytaczam odnośny ustęp:

Dozwolonemi karami są: nagana, udzielona przez nauczyciela, gospodarza klasy lub kierownika szkoły; stanie poza ławką; wykluczenie od udziału w zabawach i wycieczkach szkolnych; zatrzymanie w szkole po godzinach nauki z wyznaczeniem odpowiedniego zatrudnienia, pod nadzorem nauczyciela; wezwanie przed konferencyę nauczycieli lub przewodniczącego Rady szkolnej miejscowej; zagrożenie wykluczeniem lub wreszcie samo wykluczenie.

Wszelkie inne kary, a w szczególności chłosta cielesna, są niedopuszczalne.

O wymierzeniu kary, zatrzymaniu w szkole po nauce lub o zagrożeniu wykluczeniem należy zawiadomić rodziców lub ich zastępców.

Czego regulamin szkolny nie dozwala, na to nie wolno sobie pozwalać. Nieprzyjemności wielkie — szkody nie mniejsze. Na kije — wymierzanie policzków za niewyuczenie się pacierza, mogą sobie pozwolić bezkarnie tylko pedagodzy pruscy we Wreśni i indziej.

Kazać za karę klęczeć — to profanowanie aktu czci religijnej, którym wielbimy Boga. Wyrzucanie za drzwi jest błędem pedagogicznym. Używanie słów obelżywych jest niekulturalne. Co do samego aktu karania, katecheta może być sędzią, nigdy woźnym sądowym, strażnikiem więziennym wymierzającym kary.

O karach cielesnych pisze Foerster: [1])

„Kar cielesnych należy unikać.

1. Z powodów hygienicznych. Pominąwszy poważne uszkodzenia cielesne, wynikające z wymierzania policzków i uderzeń w głowę, szczególnie w zastosowaniu do obciążonych w jakikolwiek sposób dzieci, należy właśnie w naszych czasach nerwowych wystrzegać się wszelkiego nadwerężania przeczulonego systemu nerwowego naszych dzieci. Nie posiadamy już krzepkiego systemu nerwowego naszych przodków. Cały tryb naszego życia i pracy, naszej atmosfery kulturalnej spowodował wydelikacenie, ale także i większą słabość oporną naszych nerwów wobec naporu zewnętrznego. I dlatego choćby powoływanie się na tradycyę bata jest całkiem chybione. Sukcesy w zastraszaniu i w pozornem działaniu dyscyplinarnem odbijają się dziesięciokrotnie na wynikającem z nich osłabieniu i podnieceniu, które nietylko ciężko uszkadzają dziecko fizycznie, lecz także pozbawiają je sił potrzebnych mu do panowania nad sobą.

2. Karanie cielesne zasługuje na zupełne potępienie także ze względów moralno-pedagogicznych.

W klasach dyscyplinarnych specyalnie urządzonych, tudzież w szkołach istniejących przy zakładach wychowawczych, przytuliskach i domach poprawy jest regulamin dla nich wydany, a przez odnośne władze zatwierdzony.

[1]) Por. Dr. Foerster: Wychowanie człowieka — tł. Osterloff. str. 618.

Podstawę wszelkiego rozwoju kulturalnego i wszelkiej regeneracyi stanowi poczucie poszanowania dla samego siebie i czci własnej, a nie ma większego poniżenia godności ludzkiej nad bicie, jako traktowanie człowieka na równi ze zwierzęciem. Dajemy mu bowiem przez to do zrozumienia, że nie ma w nim nic duchowego, na czem możnaby się oprzeć i z czem możnaby zawrzeć przymierze dla oddziaływania moralnego; degradujemy człowieka do poziomu psa lub konia. Wszystkim pedagogom bata polecamy lekturę „Martwego domu“ Dostojewskiego, w której to książce wielki psycholog rosyjski opisuje, jak kara cielesna tłumi resztki popędów wyższych w człowieku zdziczałym, jak też „godne człowieka obejście się z nim“ może podźwignąć duchowo nawet jednostkę, w której jak się zdawało, „już wygasł obraz Boski“.

Największe zepsucie charakteru i głęboki wewnętrzny brak dyscypliny objawia się w tych szkołach, w których dużo biją. Ujemne te konsekwencye wynikają nietylko z degradacyi, wywołanej przez bicie, lecz również i stąd, że takie formy zwierzęce oddziaływania zarażają także dzieci; w swoich stosunkach uczą się one stosować tę samą metodę reagowania, ponieważ mądrość dorosłych nie umiała wskazać im dostojniejszej drogi oddziaływania. Odczuwają one także instynktownie brak panowania nad sobą, który występuje tak wyraźnie u pedagogów bata. Do pedagogów bata należy też zaliczyć niestety i liczne zastępy rodziców, którzy z powodu braku panowania nad sobą tak są skorzy do wymierzania policzków i szturchańców, a w ten sposób popełniają to samo, co karcą. Wobec możliwego zarzutu, że bywają chłopaki, z którymi nikt sobie nie poradzi bez bicia, odsyłam do sprawozdania o dwóch szkołach w Toronto (Kanada). A dalej czem się to dzieje — możnaby się zapytać — że właśnie pedagogowie w zakładach specyalnych dla dzieci trudnych do wychowania i zaniedbanych, we wszystkich krajach prawie że bez wyjątku oświadczyli się za zupełnem zniesieniem kary cielesnej? Proszę czytać np. co powiada Journal of Education o „Maison paternelle“ w Mattray, zakładzie wychowawczym, który od wielu już lat osiąga świetne rezultaty. Najmniejsze nawet dotknięcie ciała wychowańca w zamiarze kary

jest najzupełniej wyłączone i to właśnie stanowi podstawę powodzenia pedagogicznego. Poczucie honoru, poszanowanie dla siebie u wychowańca poczytują tam za święte, a już przez to przypominają mu ukrytą godność własną, o której on sam może zapomniał lub nie był jej świadom, a która jednakże stanowi rdzeń całej jego egzystencyi moralnej. Czytamy także świadectwo Belgijczyka Demoora w jego doskonałej książce o „Wychowaniu dzieci nienormalnych“; dowiadujemy się z niej również, że wszystkie bez wyjątku belgijskie szkoły specyalne „dla niekarnych“ zasadniczo wyrzekają się stosowania kary cielesnej, którą w Niemczech uważają za pożądaną i dozwoloną.

Fakt charakterystyczny, że wskazują tutaj na Niemcy, jako na kraj klasyczny kary cielesnej, co właściwie świadczy też o nierównościach w praktyce pedagogicznej w Niemczech; nigdzie przecie mimo szczytnej tradycyi pedagogicznej, nie trzymają się tak niewzruszenie znaczenia pedagogicznego czysto zwierzęcych środków wychowawczych, jak tam. Doświadczeni pedagogowie amerykańscy, którzy zwiedzali szkoły niemieckie, wyrazili się ze szczerem oburzeniem o sposobie postępowania tamtejszego z ambicyą nawet i starszych uczniów. W gimnazyach francuskich i rosyjskich (!) żaden nauczyciel nie ośmiela się bić, gdy w Niemczech aż do najwyższych klas policzkują uczniów [1]).

---

[1]) U nas podobnie jak u Francuzów, tradycya bata znikła prawie całkiem, przynajmniej w szkole średniej, a policzek uważany był zawsze za hańbiący, nawet dla dziecka.

Już Ustawa Komisyi Edukacyjnej zaleca bardzo oględne stosowanie kary cielesnej, jedynie za przewinienia największej wagi, jak jawna rozpusta i powtórzona kradzież. Piramowicz zaś, współpracownik Komisyi Edukacyjnej, w najlepszej może pracy pedagogicznej, jaką posiadamy (O powinnościach nauczyciela, 1787), pisze: „Kary mają być przystosowane i umiarkowane podług przestępstwa. Kiedy wina jest mała, tajemna, pierwszy raz popełniona, kara, albo raczej przestroga, powinna być tajemna i lekka. Przestępstwa złośliwe, gorszące, jawnie powtarzane, surowego karania wymagają. Nigdy nie powinien nauczyciel przystępować do kary cielesnej, to jest do chłosty i plag, chybaby krnąbrność rozmyślna, albo niepoprawna łatwość kłamania, zgorszenie znaczne drugich taką karę potrzebną czyniło. I wówczas powinien nauczyciel i samemu winnemu i drugim spółuczniom dać poznać, że jest przymu-

Autorowi opowiadał kiedyś nauczyciel ludowy z nadreńskiego miasta przemysłowego, że już od dłuższego czasu spostrzegał poniżające działanie bicia na nauczyciela i dzieci, aż nareszcie dnia pewnego zdecydował się ostatecznie wyrzec się bicia pod wpływem rozmowy ze skromnym górnikiem, który mu opowiadał, jak się brzydzi biciem, a jednak dobrze wychował wszystkie swe dzieci, nigdy nie uderzywszy żadnego z nich.

Nazajutrz po tej rozmowie nauczyciel ów oświadczył swoim uczniom, że nie może i nie chce już bić, a czyni to zarówno ze względu na siebie, jak i na nich, niechaj więc uczniowie nie utrudniają mu tego kroku, niechaj dadzą dowód, że w klasie może panować lepszy jeszcze porządek bez bicia. Było to podobno wzruszające, jak uroczyście dzieci przyjęły to oświadczenie, jak czuły się niem uczczone, jak następnie starały się ułatwić nauczycielowi wypełnianie tego postanowienia".

Niechże coraz więcej nauczycieli poweźmie takie postanowienie!

Do tych, co stosują surowe środki karności, odnoszą się słowa P. Jezusa, Boskiego Nauczyciela, wyrzeczone do uczniów: *„Nie wiecie, czyjego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale je ratować"*. (Łuk. X. 55).

Jakich więc środków używać, by karność utrzymać? Podaję kilka, wypróbowanych przez długoletnią praktykę:

---

szony użyć chłosty, zaklinać i prosić, żeby mu nie dawali przyczyny.

„Im karanie na ciele będzie rzadsze, w większych tylko wypadkach używane i ze zmartwieniem samego nauczyciela złączone, tem bardziej bać się i wystrzegać będą, tem się skuteczniejsze stanie ku poprawie złych samych. Prócz tego, takie kary upadlają umysł, bo są to kary niewolnicze".

Por.: Ustawy Komisyi Edukacyi Narodowej dla stanu akademickiego, na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane, w Warszawie 1783. Nakładem księgarni Borkowskiego. Warszawa 1902.

Rady i wskazówki pedagogów dla nauczycieli szkół ludowych. Wybrał, ułożył i uzupełnił W. Osterloff 1907. Nakładem księgarni Ludwika Fiszera, Warszawa-Łódź.

1. Przygotować się starannie do lekcyi i uczyć zajmująco, podtrzymując zainteresowanie u dzieci.

2. Określać ściśle i jasno, czego się od dzieci żąda.

3. Zachowywać żelazną konsekwencyę i jednolitość w nauczaniu i postępowaniu z uczniami.

4. Nie pozostawiać uczniów samym sobie, lecz ustawicznie ich zajmować; jeśli w klasie mieści się kilka stopni (oddziałów), dawać zajęcie wszystkim.

5. Przestrzegać ekonomii czasu: rozpoczynając naukę dokładnie o oznaczonej godzinie, nie marnując, o ile możności, ani chwili.

6. Wymagać zupełnego spokoju i milczenia, nie zezwalać na głośne uczenie się. Samemu być bardzo małomownym.

7. Zapobiegać wykroczeniom przez ustawiczną czujność.

8. Rozmieszczać uczniów tak, aby sobie ułatwić przegląd, a zarazem w miarę możności ograniczać i usuwać sposobność do swawolenia i przeszkadzania nauce. Uczniom niespokojnym, swawolnym wyznaczać miejsce obok kolegów, różniących się znacznie co do wzrostu, lub też nie podobnych z usposobienia. Lekkomyślnym, roztargnionym nie wyznaczać miejsc w dalszych ławkach.

9. W czasie przerw nie pozwalać na głośne rozmowy i zabawy w klasie, aby wpoić w uczniów poszanowanie miejsca, gdzie pobierają naukę.

10. Nie używać zbyt często sygnału, wzywającego wszystkich uczniów do uwagi. Nie nadużywać go zwłaszcza wtedy, gdy skupiają całą swą uwagę na wyuczenie się czegoś lub wypracowanie zadania.

11. Wystrzegać się wywoływania dystrakcyi własną swą osobą: zatem nie mówić ani zbyt wiele, ani zbyt głośno, nie stąpać głośno, nie zamykać drzwi hałaśliwie, nie uderzać gwałtownie w książkę lub stół.

12. Nie unosić się nigdy gniewem; nie okazywać w mowie obawy, bojaźliwości, ani też przesadnej miękkości i czułostkowości; wyrażać się w sposób pewny i energiczny, jednak bez zbytniego natężenia głosu i podniecenia. Jeżeli w klasie, którą się obejmuje, panuje brak dyscypliny, zbadać przedewszystkiem przyczyny tego stanu rzeczy i usuwać je sto-

pniowo, poczynając od najdrastyczniejszych wykroczeń i przechodząc kolejno do mniej ważnych. W ten sposób prawie niespostrzeżenie przywraca się ład i karność, bez narażania się na opór.

(Z „Pedagogiki św. Jana Chrzciciela de la Salle". Fryburg. Herder. 1911 str. 173 i nast.) (Dok. nast.).

X. Z. Bielawski.

„Ubiquitas" w nauce Lutra[1].

„Das bekenne ich — pisał Luter w liście do chrześcijan w Strassburgu — wo Dr. Karlstadt oder Jemand anders vor fünf Jahren mich hätte mögen berichten, dass im Sakrament nichts denn Brod und Wein wäre, der hätte mir einen grossen Dienst than. Ich hab' wohl so harte Anfechtung da erlitten und mich gerungen und gewunden, dass ich gern heraus gewesen wäre, weil ich wohl sahe, dass ich damit dem Papstthum hätte den grössten Puff können geben. Ich habe auch zween gehabt, die geschickter davon zu mir geschrieben haben, denn Dr. Karlstadt und nicht also die Worte gemartert haben nach eigenem Dunken. Aber ich bin gefangen, kann nicht heraus. Der Text ist zu gewaltig da, und will sich mit Worten nit lassen aus dem Sinn reissen" [2]).

W tych słowach wyznał Luter otwarcie, że z całą przyjemnością chciał zaprzeczyć rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Sakramencie Ołtarza, a to głównie w tym celu, by tym sposobem zadać papiestwu najcięższy cios, jednak niestety, zbyt wyraźnie i jasno mówi o niej Pismo św. Daremne wysiłki, zaprzeczyć Pismu tak jasnemu nie podobna, czuł się przeto zniewolonym do tłumaczenia słów Chrystusowych: „to jest ciało moje — to jest krew moja" w znaczeniu dosłownem: „Wir wissen aber — mówi on —

---

1) Z obszerniejszej pracy p. t. „Przeistoczenie".

2) An die Christen zu Strassburg (De Wette, Briefe II., 574 i n.).

dass dise Wort: das ist mein Leib u. s. w. klar und helle sind. Dann es höre sie gleich ein Christ oder Heide, Jüde oder Türke, so muss er bekennen, dass da werde geredt von dem Leibe Christi, der im Brot sei“ [1]). I z tego to mocnego przekonania o prawdziwej obecności Chrystusowej pochodziły te gwałtowne i namiętne ataki przeciw byłemu jego przyjacielowi Karlstadtowi i innym tzw. Sakramentirer, albo Schwärmer, którzy w Eucharystyi nie widzieli nic innego, prócz symbolu ciała i krwi Chrystusowej. Głównie w trzech pismach: „Wider die himmlischen Propheten von Bildern und Sakrament“ (1525), „Dass diese Worte Christi „das ist mein Leib“ noch feststehen, wider die Schwäzmgeister“ 1527, „Bekenntnis vom Abendmahl Christi“ 1528, wystąpił z całą gwałtownością w obronie rzeczywistej obecności Chrystusa Pana. Nic nie jest niemożliwem dla wszechmocy Bożej, która ten cud spełnia [2]).

Ale samem twierdzeniem Lutra te duchy niespokojne (Schwärmgeister) zadowolić się nie chciały. Żądano od niego natarczywie podania racyi, dla której Chrystus ma być rzeczywiście obecnym w sakramencie. Luter milczał przez długi czas, bo nie umiał dać odpowiedzi. Jedynie prawdziwą i konsekwentną odpowiedzią było: przeistoczenie. Ale tego właśnie Luter uznać nie chciał i to z obrzydzeniem odrzucił, jako wymysł „arystotelesowsko-tomistycznej dyalektyki“. Zresztą chodziło mu też o co innego. Gdyby bowiem był uznał przeistoczenie, to musiałby był przyjąć też sakrament kapłaństwa, boć przecież musiałby być ktoś, ktoby miał moc przeistaczania. Nadto, uznając raz kapłaństwo, musiałby był też konsekwentnie uznać

---

[1]) E. A. (Erlanger Ausgabe) XXX., 268. Por. XXVII, 150: „Es liegt alles an den Worten dieses Sakraments, die Christus sagt, die sollt man fürwahr mit Gold und eitel Edelgestein fassen, und nichts fleissiger vor den Augen haben“.

[2]) P. Das diese Worte Christi „Das ist mein Leib“ feststehen, wider die Schwärmgeister: Wider die himmlischen Propheten; Sermon vom Sakrament des Leibes und Blutes Christi wider die Schwärmgeister; Grosses Bekenntniss vom Abendmahl Christi. Zob. Walch XX., 950. 186. 915. 1118.

i ofiarę mszy św. i kult sakramentu eucharystyi; kapłan i ofiara, to dwa pojęcia wzajemnie się wymagające tak, że jedno bez drugiego nawet pomyśleć się nie da. Wszystko to razem wzięte bardzo nie podobało się Lutrowi tembardziej, że jego pojęcie o sakramentach już więcej ostać się nie mogło. Sakrament, zdaniem Lutra, to pewnego rodzaju kazanie, które ma obudzać wiarę w duszy przystępującego doń, a zatem sakrament się spełnia i dokonuje jedynie w chwili przyjęcia. Tymczasem przeistoczenie miało się dokonać przed przyjęciem sakramentu i bez względu na komunię, a nadto, skoro już przed przyjęciem komunii jest Chrystus Pan prawdziwie obecny, przeto eucharystyi należy się cześć Boska. A to było dla religijnego systemu Lutra jak najfatalniejsze, więc żadną miarą do tych konsekwencyi dopuścić nie chciał [1]).

Więc długo milczał — co więcej, pomimo szyderstw z nauki katolickiej o przeistoczeniu, jeszcze w r. 1543 pozwalał w nią wierzyć [2]).

W samym nawet kościele parafialnym w Wittemberdze utrzymało się poniedsienie hostyi po konsekracyi aż do roku 1542. A gdy kilka lat przedtem t. j. w r. 1538. pewien kapłan z Norymbergi chciał je usunąć, uważano go za Zwinglianina. Nawet na pewien rodzaj adoracyi eucharystyi pozwalał Luter [3]), a z końcem r. 1536. pisał: „dass unter Brot und Wein im Abendmahl sei der wahrhaftige Leib

---

[1]) Sami protestanci to przyznają, jak np. Herzog: „Luther und die ihm anhangenden Theologen sahen wohl ein, dass die Festhaltung des rein buchstäblichen Sinnes schnurstracks zu der katholischen Lehre führe. In der That steckt in der buchstäblichen Erklärung die ganze katholische Theorie und Praxis in Beziehung auf das Sacrament des Altars, nicht bloss die Wandlung der Elemente, die Anbetung der Hostie, die Kelchentziehung, sondern auch das versöhnende Opfer der Messe...“ Realenzykl. für protest. Theol. und Kirche I², 39.

[2]) „de transsubstantiatione reiicimus inutilem et sophisticam disputationem, nihil morati, si quis eam alibi credat, vel non“ (de Wette V, 568).

[3]) „adoratio in sumendo per sese accidit, dum genibus flexis verum corpus et verus sanguis sumitur“ (de Wette V, 363).

und das wahrhaftige Blut Christi und werde nicht allein gereicht und empfangen von frommen, sondern auch von bösen Christen", a więc i przez niewierzących [1]). Z tego wszystkiego widać wielką niestałość i ciągłe wahanie się Lutra. „Schwärmgeister" spokoju mu nie dawali. To też Luter nie szczędził im złorzeczeń i wymyślań, zowiąc ich nawet sługami szatana i potępieńcami: „Cieszą się papiści — pisał — z naszej niezgody. Lecz Bóg znajdzie Karlstadta w swoim czasie, sądzę, że on grzeszy grzechem, sprowadzającym śmierć (potępienie), bo on cały jest opętany przez szatana [2]).

Jednak przekleństwa i złorzeczenia nie mogły zastąpić odpowiedzi na coraz gwałtowniej cisnące się pytania: skądże się wziął Chrystus Pan w sakramencie, skoro chleb się weń nie przemienił — jakiż stosunek zachodzi pomiędzy chlebem a ciałem Chrystusowem — jakżeż wobec tego należy rozumieć słowa Pana Jezusa: to jest ciało moje? Na te pytania koniecznie trzeba było dać odpowiedź. Karlstadt, Zwingli, Bucer, Oekolampad zarzucali Lutrowi brak konsekwencyi. Bo albo uznając rzeczywistą obecność Chrystusa w sakramencie, należało też uznać jedyną do tego drogę, przeistoczenie, albo, odrzucając drugie, należało też odrzucić i pierwsze, a przyznać, jak oni, że eucharystya jest tylko figurą i symbolem ciała Pańskiego. I mieli w tem zupełną słuszność.

Luter bronił się rozpaczliwie. Przeciwników zbywał wymijającemi słowami: „...lass das Narrenwerk fahren, damit die hohen Schulen und sich bekümmern, wie der Leib Christi da sei und sich verberge unter einer solchen kleinen Gestalt. Solch Wunderwerk setze aus den Augen und hang an dem Wort [3]). Je einfältiger du an den Worten blie-

---

[1]) Zob. Loofs, Abendmahl II., 66.

[2]) „Luther mehrte den Streit durch seine masslose Heftigkeit, mit der er die Zwinglianer und die Sacramentirer überhaupt als Satansdiener behandelte". Hefele-Hergenröther, Conciliengeschichte, IX., Freiburg im Breisgau 1890, 655. Por. Sermon vom Sakrament wider die Schwärmgeister.

[3]) E. A. XI., 178.

best, je besser dirs wäre. Darum lass ihre Träume fahren... Lasse die spitzigen und glaublosen Sophisten nach solchen unergründlichen Dingen trachten und die Gottheit ins Sakrament zaubern“ [1]).

Skoro więc transsubstancyacya wydała mu się „Narrenwerk“ i „Münchstraum“, którą wymarzyli „die nacketen spitzigen und glaublosen Sophisten, Traumchristen“ [2]), zapoczątkował w piśmie „An die Christen zu Strassburg“ (1524), następnie „Wider die himmlischen Propheten von den Bildern und Sakrament“ (1525), „Dass diese Worte Christi „Das ist mein Leib“ noch feststehen, wieder die Schwärmgeister“ (1527) i „Bekentnis vom Abendmahl Christi“ (1528) nową naukę: w miejsce katolickiej transsubstancyacyi podstawił consubstancyacyę (die substantielle Koëxistenz von Brot und Leib); chleb się nie przemienia, ale dwie substancye chleba i ciała łączą się razem podobnie jak żelazo z ogniem, dusza z ciałem.

Ale skąd się tam wzięło ciało Chrystusowe? Luter odpowiada, na mocy przymiotu „ubiquitas“ (wszechobecności). Ciało Pańskie, jak i całe człowieczeństwo złączone jest nierozdzielnie z drugą Osobą, Synem Bożym, unią hypostatyczną, przeto gdzie jest Syn Boży, tam jest i ciało Pańskie, a ponieważ Syn Boży jest wszędzie (ubique), toteż wszędzie jest ciało Chrystusowe. „Leib (Christi) allenthalben ist und alles erfülle... an allen Orten, Stätten, Zeiten, Personen“ [3]). Oparł się Luter w swej opinii na błędnej hypotezie Occama, że ciało Chrystusowe może być wszędzie (quia potest esse in diversis locis simul immo ubique per potentiam divinam non virtute propria [4]). „Und es sollt mir ein schlechter Christus sein, der nicht mehr denn an einem einzelnen Ort zugleich eine göttliche und menschliche Person wäre, und an allen anderen Orten müsste er allein ein blosser abgesonderter Gott und gött-

---

[1]) E. A. XXVIII., 412.

[2]) E. A. XXVIII., 402.

[3]) E. A. XXIX., 293 i n.

[4]) Sent. IV., q. 4, N.

liche Person sein. Nein, Geselle, wo du mir Gott hinsetzest da musst du mir die Menschheit auch hinsetzen, sie lassen sich nicht sondern und von einander trennen. Es ist eine Person worden und scheidet die Menschheit nicht von sich, wie Meister Hans seinen Rock auszeugt und von sich legt, wenn er schlafen geht... Das ist's, dass er (Christus nach der Menschheit) über alle Kreaturen ist — denn wo er wohl überall ist in allen Kreaturen und ich möchte ihn im Stein, im Feuer, im Wasser oder auch im Strick finden, wie er denn gewisslich da ist" [1]).

Nie potrzeba więc żadnej transsubstancyacyi, ani transformacyi, ani jakiejkolwiek innej przemiany. Wystarczy sama unia hypostatyczna i communicatio idiomatum, mocą której przymioty natury jednej stają się własnością natury drugiej.

Lecz znany jest i drugi dowód Lutra, że ciało Chrystusowe musi być wszędzie: Chrystus Pan siedzi dzisiaj po prawicy Ojca, a prawica (moc) Ojca jest wszędzie — przeto Chrystus Pan jest wszędzie.

Jakżeż z tem pogodzić słowa Chrystusowe: to jest ciało moje? I na to znalazł odpowiedź Luter, uciekając się do tłumaczenia „per synekdochen". Jest to jego specyalny wymysł podyktowany rozpaczliwem położeniem, z którego wyjść nie chciał. Synekdoche jest to zwrot retoryczny, gdy mówiąc o całości, ma się na myśli część tylko. Chrystus Pan miał na myśli tylko część tego, co faktycznie mieściło się pod tem: „to" jest ciało moje, tam bowiem prócz ciała była substancya chleba [2]).

---

[1]) Weimarer Ausgabe XXIII., 138. 140; R. E. XX³, 188.

[2]) Die Ubiquitätslehre, mit der er (Luther) die Realpräsenz begründete, operierte mit Traditionen der nominalistischen Scholastik, führte diese allerdings weiter als die Scholastik es getan hatte, denn auf die Christologie waren in der nominalistischen Scholastik die Spielereien mit der Ubiquität nicht von Einfluss geworden. Gänzlich neu ist bei Luther nur die „synekdochische" Erklärung des τοῦτό ἐστιν, d. h. die Meinung, dass die Bezeichnung des Abendmahlsbrotes als Leib Christi durch die grammatische Redefigur der „Synekdoche" zu erklären sei, die da vorliegt, wo man ein Ganzes nennet und doch nur einen Theil meinet... gleich

Ale to całe mędrkowanie Lutra piętrzy się od niedorzeczności i sprzeczności, o które musiał się rozbić cały ten gmach, tak mozolnie przezeń zbudowany. Ubiquitas bowiem nie daje odpowiedzi na postawione pytanie, dlaczego Chrystus Pan jest pod postaciami rzeczywiście obecny. Jeżeli rezultatem tej oryginalnej hypotezy ma być to, że Chrystus Pan jest wszędzie obecny, a więc i w chlebie eucharystycznym, po co trzeba było tak gorliwie i gwałtownie bronić realnej obecności w chlebie eucharystycznym przeciw „Sakramentirer", kiedy w każdym chlebie jest też Chrystus Pan? I całkiem słusznie zapytali oni później Lutra, dlaczego spożywanie chleba codziennego nie jest komunią? Jaka przyczyna, że spożywa się ciało Pańskie tylko podczas Abendmahl? Albo Chrystus, będąc wszechobecnym, jest w każdym chlebie, albo w żadnym. Luter zrazu począł się gniewać i wymyślać, ale ostatecznie odpowiedział, że to zależy od woli Bożej. Wprawdzie jest Chrystus wszechobecnym, ale inaczej jest w chlebie eucharystycznym, a inaczej w chlebie zwykłym [1]); w pierwszym jest sposobem uchwytnym a w drugim nieuchwytnym.

Dwojaka jest ubiquitas: jedna ogólna, sama w sobie bez względu na człowieka (wenn Gott da ist), a druga ubiquitas dla człowieka (wenn er dir da ist). Chrystus Pan jest wszędzie (In = und ausser = den = Kreaturen = Sein), ale to „ungreifbare Gegenwart", a w Abendmahl greifbare Gegenwart (dass er sich dir anbinde). Tak bowiem czytamy: „Ist denn Christus Leib an allen Enden, ei so will ich ihn fressen und saufen in allen Weinstuben... so ist kein Unterschied unter meinem Tisch und des Herrn Tisch... Wenngleich Christus Leib an allen Enden ist, so wirst du

---

als wenn eine Mutter auf die Wiege, da ihr Kind inen läge, deutet und spräche: „das ist mein Kind" (Wider die himml. Propheten, E. A. 29, 296—297). Zob. Loofs Abendmahl II. (R. E. XX[3], 65).

[1]) „Das ist aber eine Folgerung, der gegenüber die kalwinisch — zwinglische noch mehr Ehrfurcht vor dem hl. Sakrament bekundet; denn auch diese unterscheiden zwischen gemeinem und Abendmahlsbrode". Heinrich Gutberlet, Dogm. IX., 601.

ihn darum sobald nicht fressen, noch saufen, noch greifen... Droben habe ich gesagt, dass die Rechte Gottes an allen Enden ist, aber dennoch zugleich auch nirgend und unbegreiflich ist, über und ausser allen Kreaturen. Es ist ein Unterschied zwischen seiner Gegenwärtigkeit und deinem Greifen — ob er gleich allenthalben da ist, so lässt er sich nicht so greifen und tappen... darum, dass es ein anderes ist, wenn Gott da ist, und wenn er dir da ist. Dann aber ist er dir da, wenn er sein Wort dazu thut und bindet sich damit an und spricht: Hier sollst du mich finden... Du wirst ihn nicht tappen, ob er gleich in deinem Brot ist, es sei denn, dass er sich dir anbinde — durch sein Wort und deute dir selbst das Brot durch sein Wort, da du ihn essen sollst, welches er denn thut im Abendmahl“ [1]).

Dlaczego więc ostatecznie w komunii spożywam ciało Pańskie, a w zwykłym chlebie go nie spożywam, choć i w zwykłym chlebie jest to samo ciało Pańskie? Bo taka wola Boża. „Oto ultimum refugium“ Lutra — „wola Boża“ [2]). Więc nie ubiquitas, ale wola Boża jest ostateczną przyczyną obecności ciała Pańskiego w komunii.

Jakżeż płytkie i niedorzeczne są te dowody! Prawda, że gdzie jest człowieczeństwo, tam jest i Bóstwo, ale nie odwrotnie. Bóstwo nie tylko jest wszędzie — obecne (ubiquitas), ale jest też niezmierzone (immensitas), przeto może być obecnem nie tylko w całym widomym świecie, lecz także w nieskończonej ilości możliwych światów; wszędzie bowiem, gdzie jest jakieś stworzenie — tam musi być i Stwórca, któryby je bezustanku podtrzymywał w bycie, aby nie popadło w nicość. Człowieczeństwo natomiast nie może mieć przymiotu niezmierzoności, jak też nie może otrzymać i innych przymiotów nieskończonych, np. wszechmocy lub bezwzględnej wszechwiedzy, bo „finitum non est

---

[1]) W A XXIII., 149—151; R E XX³, 188—189.

[2]) „Gott muss wollen und befehlen, dass sein Leib auf jene greifbare Gegenwart an besonderen Orten sei... — So zeigt sich schon bei Luther die Leistungsunfähigkeit der Ubiquitätslehre für den Nachweis der Realpräsenz im Abendmahl“. Hunzinger, R. E. XX³, 189.

capax infiniti". Na to, aby módz przyjąć przymiot nieskończony, potrzeba być nieskończonym Bogiem. Człowieczeństwo Chrystusowe mogłoby być wszędzie, w całym obecnym świecie widzialnym, ale ta multilocatio byłaby na mocy cudu, a nie na mocy unii hypostatycznej.

Gdyby obecność ciała Pańskiego w chlebie eucharystycznym nie różniła się od obecności Boga we wszystkich rzeczach, to Chrystus Pan nie mógłby był powiedzieć „to jest ciało moje", ale „tu jest ciało moje", podobnie jak, patrząc na wodę, nie można powiedzieć: „to jest Bóg", ale: „tu jest Bóg".

Zresztą, choćby ciało Pańskie było wszędzie obecne, mimo to niemożliwą jest consubstantiatio. Nigdy bowiem dwie substancye zupełne, o swej mocy (per se, a nie a se) istniejące, nie mogą utworzyć trzeciej, któraby była „unum per se". „Połączenie wogóle jest zespoleniem dwóch przynajmniej rzeczy w pewną jedność czyli całość. Zowie się rzeczywistem, jeżeli kilka jestestw łączy się w całość fizyczną... Połączenie rzeczywiste jest albo substancyalne albo akcydentalne: w pierwszym razie jednoczą się rzeczy, mianowicie substancye niezupełne w jedną zupełną substancyę, którą scholastycy nazywają „unum per se"; w drugim zespalają się substancye zupełne w pewną całość, ale tak, że nie tworzą jednej całej substancyi, że tedy każda z nich, choć wpływa na inne, zachowuje swoje własne istnienie i działanie" [1]).

Aby więc dwie substancye razem złączone dały „unum per se", potrzeba, aby były substancyami niezupełnemi jak np. ciało i dusza. Nigdy anioł i ciało nie mogą się połączyć w jedną substancyę, bo anioł nie może być formą ciała tak jak dusza. Podobnie chleb i ciało Chrystusowe, będąc substancyami zupełnemi i od siebie zupełnie zależnemi tak w swym bycie, jak i w swem działaniu, nie mogą utworzyć trzeciej substancyi. Byłaby to jakaś substancya chleb — ciało, o której nie możnaby powiedzieć ani, że

---

[1]) Ks. Dr. Kazimierz Wais, Psychologia, t. IV., Warszawa 1913, str. 16.

to jest ciało, ani, że to jest chleb, podobnie, jak o wodzie nie można powiedzieć, że to jest wodór, ani że to jest tlen, taksamo o człowieku nie można powiedzieć ani że to jest ciało, ani że to jest dusza [1]).

Dzisiejsi protestanci to spostrzegli. I tego też nie mogą przebaczyć Lutrowi dzisiejsi liberalni teologowie protestanccy. Powiadają, że Luter zbłądził, bardzo nawet zbłądził, bo bardzo się zbliżył do wiary katolickiej, broniąc tak stanowczo i tak wytrwale dogmatu rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Eucharystyi, a tem samem stał się przyczyną rozbicia protestantyzmu. Najtęższe filary, jak Karlstadt i Melanchton, właśnie dlatego porzucili naukę Lutra. Ponadto, Luter niepotrzebnie wdał się w wyjaśnianie dogmatu sposobem spekulacyi, mimo wstrętu do scholastyki, sam jednak jak najbardziej jej hołdował przez swą teoryę ubiquitatis, a temsamem zrażał ludzi do przyjęcia swej nauki i cofnął o jakie dwieście lat naukę protestancką wstecz. Takie to smutne następstwa sprowadził Luter przez nieroztropną obronę dogmatu realnej obecności Chrystusa sposobem ultrascholastycznym. Ubiquitas ostać się nie mogła i całą naukę o Abendmahl, jakoteż samego Lutra ośmieszyć musiała [2]).

X. Lisowski.

Nauka historyi Kościoła w szkołach średnich.

Między przedmiotami, których udziela katecheta tak w szkołach ludowych jak i średnich, zajmują stanowczo pierwsze miejsce nauka wiary i obyczajów, czy to udzielane na podstawie opowiadań z dziejów biblijnych, czy na podstawie katechizmu, czy też w formie dogmatyki lub

1) Zob. Heinrich Gutberlet, Dogm. IX., 602.

2) „Von der Abendmahlslehre aus gewann Luther einen besonderen starken Antrieb über die Christologie in alter Weise nachzudenken. Da er aber die Einheit von Gottheit und Mensch-

etyki. Liturgika i historya kościelna są w szkole raczej naukami pomocniczemi. Nie brak też głosów, że należałoby zaniechać nauczania tych działów nauki religii jako osobnych przedmiotów, nie poświęcać im osobnych lat ale uczyć ich przygodnie przy nauce wiary i obyczajów. Nie upierałbym się przy nauczaniu liturgiki jako osobnego przedmiotu, gdyż wiadomości liturgiczne możnaby bez trudności nawiązać do odpowiednich partyi katechizmu. Ale co do historyi Kościoła, sądzę, że przedmiot ten jest zbyt ważnym, by go można w szkole średniej pominąć, lub tylko przygodnie omawiać przy nauczaniu etyki lub dogmatyki. Jeżeli katecheta ma przy nauczaniu historyi Kościoła jasno wytknięty cel, do którego dąży, to nauka historyi będzie dla uczniów nietylko przyjemną, ale przyniesie ich duszy znaczne korzyści.

Jakim jest cel nauki historyi Kościoła w szkole średniej? Nie inny, ale ten sam, do którego zdąża całe nauczanie religii w szkole: rozwijać nadprzyrodzone życie

---

heit in Christus so streng fasste, wie kein Theologe vor ihm, musste er im Rahmen der Zweinaturenlehre auf jene entsetzlichen Speculationen über die Ubiquität des Leibes Christi gerathen, die sich auf den höchsten Höhen scholastischen Widersinns bewegen. Die traurige Folge war, dass das Lutherthum gleichsam als nota ecclesiae die ausgeführteste scholastische Doctrin erhielt, die je eine Kirchengemeinschaft erhalten hat. Es wurde dadurch auf fast 200 Jahre ins Mittelalter zurückgestossen... Er hat damit ein Heer von Nebeln über die Schöpfung gebracht, die er hinterlassen hat: die Lehre vom Sakrament überhaupt wurde verwirrt, der Auffassung des opus operatum ein Thor geöffnet, der Doctrinarismus verstärkt — die evangelische Christologie in die traurigen Bahnen der verlassenen Scholastik geleitet und so eine Orthodoxie aufgerichtet, die nothwendig engherzig und lieblos werden musste. Das sind die schweren inneren Folgen gewesen. Die äusseren sind bekannt genug; sie haben den Protestantismus zerspalten... Durch die Fassung, die Luther der Abendmahlslehre gegeben hat, hat er es mit verschuldet, dass die spätere lutherische Kirche in ihrer Christologie, in ihrer Sakramentslehre, in ihrem Doctrinarismus und ihrem falschen Massstabe, mit dem sie abweichende Lehren mass und für Ketzereien erklärte, eine kümmerliche Doublette zur katholischen Kirche zu werden drohte“. Harnack, Lehrbuch der Dogmengeschichte, Freiburg im Breisgau, III², 742. 759.

chrześcijańskie w uczniach, utwierdzać ich we wierze i cnocie, skłaniać do miłości Jezusa, do wiernej służby Bogu *„ut vitam habeant et abundantius habeant“* (Joh. X. 10), *„ut cognoscant te solum Deum verum et quem misisti Jesum Christum* (Joh. XVII. 3). Ma zatem historya Kościoła zapoznać ucznia z dziejami Kościoła, tego „Królestwa niebieskiego“, tej *civitas Dei*, która z małych początków rozrasta się jak ziarno gorczycy w olbrzymie drzewo, a jak kwas przenika całą ludzkość i przemienia ją i „odnawia oblicze ziemi“ (Psalm 103). To poznanie dziejów Kościoła powinno obudzić w uczniu miłość i przywiązanie do tej czcigodnej i prawdziwie zbawczej instytucyi, którą słusznie zwiemy „Matką naszą“, która powstała z serdecznej Krwi Chrystusowej. To poznanie dziejów Kościoła powinno też utrwalić wiarę w jego boże posłannictwo i niezłomną moc Tego, który założył królestwo tak silne, iż go ani bramy piekielne nie przemogą. Oto główny i istotny cel nauki dziejów Kościoła. Prócz tego może i powinna historya Kościoła być do pewnego stopnia uzupełnieniem i powtórzeniem nauki wiary i obyczajów. Dzieje herezyi skłaniają katechetę, by przypomniał uczniom prawowierną naukę, hagiografia wskazuje nam najwnioślejsze prawidła etyki katolickiej, wcielone w jej najszczytniejszych wzorach. W końcu powinna być historya Kościoła uzupełnieniem, a nieraz i sprostowaniem nauki historyi powszechnej. Wszakże dzieje powszechne powinny przedstawić uczniom nie tylko zewnętrzne objawy polityki, wojny i zdobycze, nie tylko zmiany w ustroju państw, ale także i dzieje wewnętrzne ludzkości, rozwój kultury i całego człowieka. A przecież nikt nie zaprzeczy, że Kościół wpłynął na całe dzieje umysłowości i obyczajności ludzi, na całą kulturę i już dla tego samego powinny być uwzględnione jego dzieje w nauce szkolnej. — O ile historya powszechna nie uwzględnia dostatecznie dziejów Kościoła, należy ją uzupełnić, o ile (świadomie lub nieświadomie) przedstawia je w fałszywem świetle, należy ją prostować.

Jakie cechy musi mieć nauka historyi Kościoła w szkole? Przedewszystkiem musi mieć charakter apo-

logetyczny. Uczeń musi poznać (jak to już wspomniałem), że Kościół jest instytucyą prawdziwie Chrystusową, zbawczą, w swej istocie niezmienną, niespożytą. Musi też poznać bodaj najważniejsze zarzuty i fałsze, z którymi się spotka czy to w nauce historyi powszechnej, czy w literaturze, czy w życiu codziennem; musi je poznać i odeprzeć, by mu nie mąciły poglądu na Kościół katolicki i nie podkopywały wiary. To żądanie, by historya kościelna w szkole uwzględniała bardzo wybitnie moment apologetyczny, nie oznacza bynajmniej, by miała stać się tendencyjną, by broniła Kościoła lub jego przedstawicieli kosztem prawdy, by ukrywała ciemne lub przykre strony dziejów Kościoła. Bynajmniej! Należy bronić prawdy i tylko prawdy, walczyć tylko prawdą i mieć odwagę przyznać się do słabości lub błędów. Nie lękajmy się wskazać na prawdziwe usterki a nawet zbrodnie, choćby najwyższych reprezentantów Kościoła, podobnie, jak ewangeliści nie wahali się opisać zaparcia się Piotra ni zdrady Judasza, nie lękajmy się przyznać do nadużyć, których dopuściły się organy Kościoła (proces Galileusza, inkwizycya). Nie sądźmy, że prawda taka może osłabić wiarę lub przywiązanie do Kościoła. Wszakże w dziejach własnego narodu uczymy się nie tylko o cnotach i tryumfach, ale także i o wadach i klęskach naszych przodków, a przecież to nie osłabia miłości i przywiązania do ojczyzny. Owszem im śmielej przyznamy się do nieudolności i słabości ludzkiego czynnika w Kościele, tem świetniej wystąpi jego boski nadprzyrodzony czynnik: przekonamy naszych uczniów, że obecność kąkolu na polu Chrystusowem nie sprzeciwia się świętości i prawdziwości Kościoła, że wówczas, gdy ludzie nie umieją lub nie chcą bronić skołatanej łodzi Piotrowej, czuwa i ratuje ją niewidzialny i wszechmocny jej Sternik, że „*dignitas Petri etiam in indigno haerede non deficit*“. Na ciemnem tle zdziczenia obyczajów w XI. wieku występuje tem świetniej reforma Grzegorza VII., zbytek, zeświecczenie duchowieństwa w XIII. wieku pozwoli uczniowi lepiej zrozumieć ideał Ubogiego z Assyżu, a bez zoryentowania się w stosunkach kościel-

nych przed reformacyą nie zrozumieją uczniowie przyczyny szybkiego rozszerzenia się tego błędnowierstwa. A zatem apologia, ale zawsze objektywna, rzeczowa, oparta na prawdzie. Gdybyśmy zresztą nawet chcieli przed uczniem ukrywać ciemne strony dziejów Kościoła, to nicbyśmy na tem nie zyskali: uczeń dowie się o nich skądinąd i pomyśli, że katecheta albo nie zna tych faktów, albo co gorsza, zamilcza je lub przekręca świadomie. Zamiast ugruntowania we wierze i przywiązania do Kościoła moglibyśmy taką fałszywie pojętą apologią tylko podkopać zaufanie do siebie i osłabić szacunek dla swego słowa.

Niezupełna zgoda panuje w kwestyi, czy historyi Kościoła należy uczyć pragmatycznie i do pewnego stopnia systematycznie, czy też podawać tylko szereg obrazów historycznych, grupując całe dzieje Kościoła około kilkunastu najważniejszych postaci, n. p. papieży, świętych i t. d. Wobec tego, że uczniowie uczą się w wyższych klasach historyi powszechnej i polskiej pragmatycznie i systematycznie, sądzę, że należy ten sposób nauczania zachować i w historyi Kościoła. Uczeń nie powinien widzieć w dziejach swego Kościoła szeregu luźnych „historyjek", lecz jednolitą historyę, w której jak czerwona nić ciągnie się przez poszczególne fakta myśl Chrystusowa. Z tego nie wynika bynajmniej, byśmy mieli równomiernie uwzględniać wszystkie zdarzenia z dziejów Kościoła: mnóstwo zdarzeń, których znajomość potrzebna jest tylko fachowemu historykowi lub teologowi, można zupełnie pominąć, inne tylko lekko naszkicować, a w ten sposób uzyskamy dość czasu, by uwzględnić dokładniej i plastyczniej przedstawić inne, ważniejsze.

Które momenty z dziejów Kościoła musi uwzględnić katecheta przedewszystkiem w nauczaniu? Przedewszystkiem najbardziej typowe, charaterystyczne dla pewnych epok. Takimi są np. prześladowania w pierwszych wiekach, walka literacka z pogaństwem i herezyą, emancypacya chrześcijaństwa za Konstantyna W., działalność Ojców Kościoła, Aryanizm, schizma wschodnia, nawrócenia narodów germańskich i słowiańskich, koronacya

Karola W., Reformy Grzegorza VII., krucyaty, ruch franciszkański, walka o inwestyturę i z cezaropapizmem Hohenstaufów, epoka Innocentego III., Avignon, schizma zachodnia, tendencye soboru bazylejskiego, humanizm, odrodzenie, reformacya i przeciwreformacya, sobór Trydencki, galikanizm i józefinizm, wielka rewolucya, sobór watykański itd. Dalej należy przedstawić dokładnie i plastycznie wielkie, świetlane postaci mężów prawdziwie opatrznościowych. Imiona mężów takich, jak Origenes, Atanazy, Hieronim, Augustyn, Benedykt, Grzegorz W., Jan Złotousty, Grzegorz VII., Bernard, Dominik, Franciszek z Asyżu, Innocenty III., Karol Boromeusz, Filip Nereusz, Ignacy Loyola, Franciszek Salezy, Wincenty a Paulo, Pius VI, Pius VII., Pius IX., Leon XIII., nie powinny być dla ucznia tylko pustym dźwiękiem — ale budzić w jego rozumie, wyobraźni i uczuciu uznanie, uszanowanie i miłość. Ale i imiona Aryusza, Focyusza, Husa i Lutra nie powinny mu być obcemi: musi ich poznać prawdziwie, nie w gloryi, ale też i nie w karykaturze.

Historya powszechna podawała dawniej w szkole uczniowi przeważnie dzieje zewnętrzne państw, szczególniej wojny i zdobycze terytoryalne. Obecnie zwraca (zupełnie słusznie) głównie uwagę na wewnętrzny rozwój państw, na dzieje kultury, cywilizacyi narodów. Historya Kościoła nie powinna się również ograniczać do zewnętrznych jego dziejów; owszem można nieraz skrócić historyę, np. polityki i dyplomacyi papieskiej, a za to zwrócić baczną uwagę na prawdziwie zbawienny i wszechstronny wpływ Kościoła, na jego misyę kulturalną. Niech uczniowie poznają staranie Kościoła o wykorzenienie zdrożnych zwyczajów pogańskich, walkę z wszechmocą absolutnego państwa rzymskiego, z niewolnictwem; okażmy im przepiękny obraz życia pierwszych chrześcijan. Ukażmy im Kościół jako pioniera cywilizacyi, nauki i sztuki, pouczmy ich, jak zakony niosły wszechstronną cywilizacyę środkowej i północnej Europy, pouczmy ich, kto zakładał pierwsze szkoły od elementarnych szkółek parafialnych i klasztornych do świetnych uniwersytetów średniowiecznych. Przekonajmy

ich, że całe dzieje sztuki od upadku państwa rzymskiego do końca wieków średnich, a do pewnego stopnia po koniec XVIII-go wieku, — to historya chrześcijańskiej, ba nawet kościelnej sztuki. Tak samo staranie, które okazuje Kościół o rozszerzenie wiary między poganami, o opiekę nad ubogimi, niewolnikami, sierotami, chorymi, powinno być choć w ogólnych zarysach znane starszym uczniom. Bohaterowie ducha, jak Origenes, Augustyn, Hieronim, Anzelm, Bonawentura, Tomasz z Akwinu, bohaterowie miłości bliźniego, jak Jan Boży, Wincenty a Paulo, Franciszek Ksawery, powinni być znani i kochani przez naszą młodzież.

Nauka dziejów Kościoła powinna dalej uwzględniać zagadnienia aktualne. Należą tu przedewszystkiem kwestye ważne dla apologii Kościoła: „nietolerancya“ Kościoła wobec innowierców, „zaborcza“ polityka papieży, „niechęć Kościoła do postępu i wiedzy“, kwestya zakonów, inkwizycya, indeks itd. Dalej należy uwzględnić szczegółowo najnowsze kierunki i prądy w Kościele, gdyż przedewszystkiem z nimi spotka się młodzież w nauce i w życiu. Aby zyskać czas do tego potrzebny, możnaby opuścić wiele faktów, mających obecnie jedynie znaczenie zabytków historycznych, tudzież takich, które są uczniom dostatecznie znane z dziejów powszechnych, tak, że wystarczy je przypomnieć i odpytać.

Ze wszech stron domagają się, by całemu nauczaniu w szkole nadać cechę narodową, a zatem, by naukę dziejów powszechnych oprzeć o naukę dziejów własnego kraju i narodu. Nauki historyi Kościoła katolickiego, a za tem powszechnego nie możemy oprzeć o dzieje Kościoła polskiego jako o centrum; tym środkiem i sercem dziejów Kościoła musi pozostać historya papiestwa. Ale stanowczo należy się domagać większego uwzględnienia dziejów naszego Kościoła, niż je uwzględnia się dotychczas. Uczniowie muszą poznać bodaj w zarysie historyę chrystyanizacyi Polski, stosunek Kościoła do państwa polskiego, bodaj najwybitniejszych reprezentantów hierarchii naszej, mężów uczonych w Kościele polskim, a głównie Świętych polskich, o których tak mało się mówi. Dzieje Kościoła porozbioro-

wego, dzieje naszego męczeństwa i tryumfu powinny być dobrze znane naszej młodzieży. — Także dzieje Kościoła w krajach ościennych, szczególniej na Rusi i Litwie, tudzież schizmy, zwłaszcza rosyjskiej powinny być uwzględnione. Pod tym względem wykazują obecne polskie podręczniki (X. Jougana i X. Gadowskiego) znaczny postęp w porównaniu z dawnymi, tłumaczonymi z niemieckiego, ale sądzę, że w tym kierunku można by uczynić znacznie więcej.

Na kilku kursach katechetycznych, zwłaszcza na ostatnim kongresie katechetycznym we Wiedniu (wrzesień 1912) podnoszono życzenia, by uczniów zapoznawano ze źródłami historyi kościelnej i z literaturą kościelną i wskazywano na pewne próby w tym kierunku. Do tego byłyby potrzebne wypisy, zawierające niektóre dokumenty historyczne, np. symbole, dekrety papieży lub soborów i rodzaj małej chrestomatyi czy antologii z najwybitniejszych dzieł Ojców Kościoła, teologów i kaznodziei. Nie wątpię, że odczytywanie z uczniami takich ustępów i odpowiednie ich objaśnienie ożywiłoby naukę, pogłębiłoby ją i zapoznałoby lepiej ucznia ze starożytnością chrześcijańską, niż najlepszy podręcznik historyi. Czy jednak w zwykłych u nas warunkach (2 godziny religii tygodniowo, przepełnienie klas, wczesny termin egzaminu dojrzałości) znalazłby katecheta czas na systematyczne korzystanie z takich wypisów, pozwalam sobie wątpić. Wiadomo, że nieraz trudno przerobić z uczniami materyał obowiązujący w klasie, wiadomo, że podczas studyów teologicznych nie łatwo znaleźć czas na takie ćwiczenia z zakresu patrystyki, nie mam zatem nadziei, by ten (bardzo zresztą sympatyczny projekt) dał się uskutecznić. W każdym razie musiałaby taka chrestomatya być bardzo starannie dobrana, nie zbyt trudna (do źródeł greckich potrzebaby dodać łacińskie lub polskie tłumaczenie), niewielka i tania.

W końcu pytanie: w której klasie powinno się uczyć historyi Kościoła? Kto pragnie osiągnąć ten cel, jaki założyliśmy dla tej nauki, ten nie może przemawiać za na-

uczaniem tego przedmiotu w klasie IV. lub V., czego niektórzy pragną. Uczniowie na tym stopniu nauki nie umieją dość historyi powszechnej, która powinna być tłem dla nauki dziejów Kościoła, nie mają dostatecznej dojrzałości do zrozumienia apologetycznych zagadnień, na które ma odpowiedź historya. Z drugiej strony nie nadaje się (mojem zdaniem) na naukę historyi Kościoła klasa najwyższa: drugi kurs kończy się zbyt wcześnie z powodu egzaminu dojrzałości, a przygotowywanie do tego egzaminu absorbuje bądź co bądź uwagę i czas uczniów i utrudnia im uczenie się przedmiotu, który wymaga w każdym razie pracy pamięciowej. Wobec tego doznają dzieje Kościoła w XIX. wieku (które są dla uczniów może najważniejsze) macoszego traktowania, o ile się ich z powodu niespodziewanego wczesnego terminu egzaminu dojrzałości nie musi zupełnie opuścić.

Najodpowiedniejszą klasą dla nauki historyi Kościoła byłaby w gimnazyum klasa VII. Uczniowie są dostatecznie przygotowani, znają historyę starożytną i średniowieczną, a uczą się nowożytnej, nie mając zaś na głowie egzaminu dojrzałości, mogą do końca roku uczyć się regularnie wszystkich przedmiotów. W razie wyznaczenia klasy VII. na naukę historyi należałoby przenieść naukę dogmatyki szczegółowej i etyki (a raczej nauki wiary i obyczajów) do kl. V. ew. VI., do kl. zaś VIII. przeznaczyć dogmatykę ogólną, czyli apologetykę. Tego przedmiotu uczymy obecnie w kl. V.; jest on dla ucznów na tym stopniu rozwoju zwykle nie potrzebny, a zawsze za trudny i niezupełnie zrozumiały. Apologetyka w klasie VIII. byłaby dla uczniów potrzebną i zajmującą, oparta na nauce historyi, byłaby łatwiejszą i zrozumialszą, nie obciążałaby pamięci abituryentów, a dałaby im w chwili, w której mają opuścić szkołę średnią, broń do ręki przeciw zarzutom i ugruntowanie we wierze katolickiej. W siedmioklasowej szkole realnej mogłaby od biedy pozostać historya Kościoła w kl. VII., a apologetyki trzebaby uczyć przygodnie przy nauce dogmatyki, etyki i historyi. *X. A. G.*

O KATECHIZMIE.

Referat X. Kanonika M. Ślepickiego odczytany na XV. zjeździe XX. Dziekanów w Krakowie 28. listopada 1912[1]).

1. Czy utyskiwania na katechizm salcburski, obowiązujący w dyecezyi krakowskiej, są uzasadnione i w czem leży ich przyczyna?
2. Czy podjąć próbę ułożenia nowego katechizmu?
3. Czy wprowadzić zaraz w miejsce obowiązującego katechizmu inny już istniejący?
4. Czy przygotować nowe, nie zmienione wydanie obowiązującego katechizmu?

Żaden naród — nawet Niemcy, którzy stoją najwyżej w pracy katechetycznej — nie ma idealnego katechizmu. Tę myśl wypowiada i O. Linden T. J. twórca nowych katechizmów w Bawaryi, który w I. Nrze pisma „Katechetische Blätter" z r. 1911 str. 11 cytuje takie słowa O. Wittenbrinka: „Gdyby Archanioł z nieba zstąpił i ułożył katechizm, to i w tym katechizmie zganionoby wiele", a przyczyna ogólna narzekań tkwi w tem, że a) ułożyć katechizm bez zarzutu jest rzeczą ogromnie trudną, b) że nie wszyscy jednako zapatrują się na kwestyę, czem właściwie ma być katechizm. — Zdajmy sobie sprawę z tych dwu punktów.

Ułożyć katechizm możliwie bez zarzutu, mógłby idealny teolog, idealny pedagog, idealny dydaktyk, idealny katecheta, idealny psycholog, idealny stylista, wytrawny, idealny a pobożny duszpasterz, tyle zaś doskonałości znaleść w jednej osobie jest rzeczą niemożliwą — to też przyczyną, dlaczego dobry katechizm może powstać tylko jako

[1]) Referat ten miał być tylko substratem do dyskusyi, nie był przeznaczony do opublikowania, nie przedstawia więc sprawy katechizmu w sposób zupełnie wyczerpujący. Było intencyą Autora powstrzymać wydawanie coraz nowych katechizmów, które nie mogą znaleźć uznania. Zamiast nieznanego X. wolałby Autor coś dobrego, choćby to dobre miało przyjść dopiero nieco później. Autor osobiście — jesteśmy upoważnieni to stwierdzić, był zawsze przeciwny wprowadzeniu do szkół naszych katechizmu salcburskiego.

Redakcya.

zbiorowa praca wielu głów i serc, a nawet czasem wielu pokoleń.

Drugą trudność stanowi ta okoliczność, iż różnie zapatrują się na katechizm; jedni chcieliby, by katechizm był takim samouczkiem, który, bawiąc się, można sobie przyswoić — inni chcą mieć w nim suchy szkielet nauki katolickiej — inni radziby znaleść w katechizmie kompendium teologii, inni nareszcie pragną, by katechizm był czytanką dla ludu. To wszystko naprawdę jest niemożliwem: katechizm powinien być krótkiem, prostem, bez balastu uczoności zebraniem prawd zasadniczych religii katolickiej, który ma służyć młodzieży do utrwalenia w pamięci żywego słowa katechety, rodzicom zaś do kontroli dziecięcia.

Czy katechizm salcburski odpowiada tym wymaganiom? Niezawodnie nie jest on idealnym katechizmem. Jest on względnie długi, ponieważ ma 867 pytań, z czego jest 197 definicyi, ma ogromnie wiele wyliczań, (103 = $^{2}/_{54}$, $^{3}/_{61}$, $^{4}/_{41}$, $^{5}/_{14}$, $^{6}/_{9}$, $^{7}/_{6}$, $^{3}/_{3}$, $^{9}/_{3}$, $^{19}/_{1}$, $^{15}/_{1}$) (390 def. + wylicz.), stylizacya trudna, rozdział zaś na pojedyncze lata nierównomierny, 1—4 = 199, 5—6 = 546, 7 = 131. Obok tych wad ma tę zaletę, że nauka bez zastrzeżeń poprawna, systematyczność w każdym szczególe.

Są jednak i inne przyczyny do utyskiwań. Do roku 1899 posługiwano się katechizmem Deharba w dawnem opracowaniu, później w opracowaniu ks. M. Morawskiego T. J., przyzwyczajono się do niego — nagle wprowadzono nowy, inaczej zbudowany, większy, trudniej ułożony, inaczej niż dotąd stylizowany. Duchowieństwo i społeczeństwo i dzieci musiały się oswajać z nim i to jest może najważniejszy powód do utyskiwań.

II. Czy wobec tego podjąć próbę ułożenia nowego katechizmu? Odpowiedź na to dajmy po rozważeniu następujących zdarzeń.

W roku 1911 czasopismo warszawskie „Prąd“ ogłosiło konkurs na katechizm. Według warunków konkursu miał on być ułożony na podobieństwo katechizmu ks.

Królickiego, a nagroda wynosiła 1000 rubli [1]). Dotąd nikt nie pokusił się o zdobycie nagrody!

Przed kilku laty ułożono na próbę katechizm dla dyecezyi augsburskiej — dziś go usunięto.

Ks. Linden ułożył nowy katechizm — miano go używać w dyecezyach bawarskich przez 4 lata, a zaraz wszczęła się przeciw niemu ogromna burza.

Nie można również nazwać idealnym katechizmem: „Compendio della dottrina christiana", poleconego przez Ojca św. Piusa X. w liście do Kardynała-Wikaryusza Piotra Respighi z dnia 14 czerwca 1905.

U nas w Galicyi powstały w najnowszych czasach katechizmy: XX. Gadowskiego, Pilszaka, Błaszczaka, Taranowicza, ale żaden z nich nie wytrzyma porównania nawet z katechizmem salcburskim. Czy liczbę nieudałych prac, wymagających ogromnego nakładu pracy, mamy pomnożyć przez nowy niewiadomo jakiej wartości katechizm? Czy wtedy, kiedy po 13 latach używania jako tako oswojono się z katechizmem salcburskim, mamy dla niepewnej nowości wprowadzać nowy chaos w nauczanie i przysparzać nowych trudów Duchowieństwu obarczonemu pracą przez wyuczanie się nowych katechizmów? Czy to ułatwi ludowi poznanie prawd wiary, czy może raczej przysporzy zobojętnienia dla spraw Bożych?

Brońmy się przed zmianami, gdy nie mamy pewności, że przyniosą nam coś rzeczywiście lepszego i dlatego nie wprowadzajmy dorywczo bez głębokiej rozwagi i zdania wytrawnych Duszpasterzy nowości.

III. Czy wprowadzić w miejsce obowiązującego katechizmu inny już istniejący?

Katechizmów mamy wiele. Prócz wyżej wymienionych są w Królestwie: Putyatyckiego, Rzewuskiego, Filochowskiego, Symona, Grefkowicza, Sokolika, Skimborowicza, Bączkowskiego, Kowalewskiego; w Księstwie: Likowskie-

---

[1]) Por. Mies. Kat. i Wych. z r. 1911. Str. 305. *Dop. Red.*

go; u nas w Galicyi: Gorazdowskiego, Gorzelańskiego, Lewandowskiego—Pajora i t. d. Z tych jednak żadnego polecić nie można, w tej formie jak obecnie, dla przyczyn wymienionych przy pytaniu drugiem. Cóż przeto pozostaje? Ponieważ ani doraźnie nowy układać ani dawniej istniejący przyjmować nie jest rzeczą poradzoną, przeto pozostaje jedna ewentualność: wydrukować katechizm salcburski niezmieniony tak, aby ilość egzemplarzy starczyła na 8—4 lat, a równocześnie należałoby przygotować nowy katechizm w następujący sposób:

1. Na kongregacye dekanalne zamiast innych elaboratów przygotować odpowiedzi na kwestyonaryusz ułożony przez Najprzewielebniejszy Książęco-Biskupi Konsystorz, w którym to kwestonaryuszu złożonoby opinie o ogólnej budowie nowego katechizmu, o ujęciu poszczególnych partyi katechizmu, o wadach, których wypadałoby uniknąć, o ilości materyału, który można wyczerpnąć, o planie nauki religii, o stosunku hist. biblijnej do katechizmu, o nauce obrzędów, o wiadomościach z historyi Kościoła, o nauce dopełniającej religii.

2. To mogłoby stanowić również przedmiot odczytów na kursie katechetycznym, który ma się odbyć w Krakowie w r. 1913 pod jesień.

3. Na podstawie tych szczegółów powierzyć ułożenie nowego katechizmu kilku wytrawnym Duszpasterzom i fachowym Katechetom.

4. Za podstawę wziąć katechizm ks. Arbpa Likowskiego z uwzględnieniem dobrych stron innych katechizmów.

5. Rezultat ich pracy wydrukować jako manuskrypt i rozesłać Duchowieństwu do wyrażenia opinii.

6. Nadać ostateczną stylizacyę katechizmowi, a wtedy będzie to katechizm „nasz“ „dyecezyalny“, ponieważ autorstwo jego należy do Duchowieństwa całej dyecezyi.

Sodalicye Maryańskie w szkołach średnich.

Omówieniu tej sprawy poświęcone już były w Miesięczniku Kat. dwa artykuły na str. 119 i 446 z r. 1912. W pierwszym rozebrane szerzej pytanie: czy wolno je zakładać, czy nie; w drugim jest mowa o tem, jak sodalicyę zakładać, prowadzić itd. Nie myślę krytykować ni pierwszego ni drugiego artykułu, ponieważ jednak mam nieco odmienne zdanie w tej sprawie, więc ośmielam się je przedstawić, by się poradzić: czy i tak nie byłoby dobrze?

Co się tyczy pytania: czy wolno sodalicye zakładać czy nie wolno, to przyznam się, żem się wcale nad tem nie zastanawiał. Dla mnie była to sprawa zupełnie jasna, nie wymagająca dowodzenia. Są w gimnazyum każdem kółka: literackie, samokształcenia, dramatyczne, miłośników sztuki, ba nawet fotografów, matematyków itd. Dlaczegoż nie możnaby, względnie nie wolnoby założyć kółka religijnego? Przecież religia jest w rzędzie przedmiotów szkolnych. A czy ja to nazwę: kółkiem, czy po łacinie: sodalitas, congregatio, to wszystko jedno. Jeśli dalej może być kółko literackie n. p. imienia Kraszewskiego (i owszem, by chłopcy mieli wzór pracy), to ja mogę nazwać moje: kółkiem religijnem imienia np. Św. Tomasza, Hieronima, Najśw. M. Panny — sodalicyą Maryańską. Oczywiście tak pojęte kółko nie będzie, ściśle mówiąc, bractwem Sodalicyi Maryańskiej. Ale czy i musi być bractwem? Przecież i tak naszym sodalisom gimn. nie dajemy patentów ani odznak; chodzi o ducha, o cel tej sodalicyi. Nie potrzebuje zatem katecheta do założenia i prowadzenia swojej Sodalicyi osobnego pozwolenia czy upoważnienia, boć staranie się o pogłębianie prawd wiary u swoich uczniów i wdrażanie ich teoretyczne i praktyczne w umysły i serca młode, to ścisły obowiązek katechety, na to on jest w szkole. Dlaczego jednak nazywać te kółka sodalicyami Maryańskiemi, jeśli one nie są bractwem sodal. Maryańskiej? Po co to zamieszanie? A czy ta nazwa komu szkodzi? pytam. Bardzo dobra i szczęśliwa, dlaczegoż jej nie użyć? W czem może być zamieszanie? Jest w gimnazyum żywy

różaniec, zaprowadzony przez katechetę, któremu ani na myśl nie przyszło prosić o pozwolenie OO. Dominikanów, albo pytać się dyrektora, czy to wolno, nikt się nie troszczy o to, czy to bractwo czy nie, byle uczniowie się modlili i dobrze się umieli modlić na różańcu — zatem i sodalicya, byle była dobra i doskonale odpowiadała celowi, a mniejsza o to, czy ona bractwem czy nie.

Tak zapatrując się na sodalicyę, uwolnionym się jest od obawy, czy wolno ją założyć czy nie, a równocześnie rozstrzygnięta sprawa, kto ją ma założyć i prowadzić. Wobec tego nie tylko „najodpowiedniejszym", ale koniecznym jest tylko katecheta. Wszak on duszpasterzem swych uczniów. Jakie świadectwo by on sobie wystawił, gdyby „sam nie czując się na siłach, prosił o pomoc OO. Jezuitów?" Coby sobie pomyśleli uczniowie o profesorze, wykładającym np. matematykę, któryby zwrócił się z prośbą do innego profesora, stojącego poza szkołą, by go wyręczył w głębszem zaznajamianiu jego uczniów z tajnikami analityki, bo on sam z tem, co umie, nie podoła!

Jakby on wobec samego siebie wyglądał? W dodatku nie wiem, czyby na taką propozycyę profesora władza szkolna się zgodziła. Owszem niech katecheta i tylko on sodalicyę zakłada i prowadzi, niech ta sodalicya ma charakter szkolny, niech ma swe zebrania w szkole tylko, niech w klasie uczniowie się modlą i mówią o rzeczach świętych, niech duch chrześcijański w szkole, w klasie się wypowiada — po co go wypędzać poza szkołę? Czy przez zebrania pozaszkolne nie powstałaby obawa utrwalenia się przekonania u uczniów, że szkoła bezwyznaniowa? Wprawdzie nieraz słyszałem przy słowach: katecheta-duszpasterz dodatek, wypowiedziany z gorżkim uśmiechem: *in partibus infidelium*, ale to stanowczo gruba przesada i zbyt wielki pessymizm. A gdyby nawet i tak było, to tem bardziej w murach szkolnych winniśmy zebrania nasze urządzać. O odpowiedni nastrój na zebraniu postarać się, rzeczą katechety.

Jak się zabrać do tego, to zależy od wielu okoliczności. Najlepiej znów sam katecheta osądzi, jak ma postą-

pić. Ja założyłem sodalicyę w ten sposób, żem kilku uczniom zdecydowanym i praktykującym poddał tę myśl na przechadzce. Oni już sami zajęli się zszeregowaniem podobnie myślących. Gdym swego czasu założył kółko etyczne i w klasach zachęcałem wszystkich uczniów, przekonałem się, że takie szczepienie nie da wielkich owoców. Lepsi się zniechęcali a obojętni i tak nie stosowali się do programu. Wobec tego poprzestawało takie kółko prawie tylko na teoretycznem omawianiu zasad wiary i etyki katolickiej. Wprawdzie ś. p. infułat Lenkiewicz, gdym się go radził w sprawie tego kółka, powiedział mi: „niech ksiądz się rozgląda i uczy się, później ksiądz zobaczy“ — nie usłuchałem, inaczej musiałbym nie być młodym. Zawsze jednak jakieś doświadczenie wyniosłem.

Z których klas uczniowie mogą do sodalicyi należeć? Zdaje mi się, że chyba tylko z wyższego gimnazyum. Byłbym w prawdziwym kłopocie, co mówić i jak, gdyby na zebraniu byli uczniowie i z „drugiej“ nawet klasy gimn. Można dla nich — oczywiście o wybranych mowa i o zelatorach — urządzać zebrania co miesiąc, niech odmówią jedną tajemnicę różańcową, jeden zadeklamuje ładny wiersz, inny opisze życie swego Patrona, katecheta coś opowie — i dosyć dla nich.

Gdybyśmy w każdej szkole średniej założyli sodalicyę, co z pewnością da się uskutecznić bez wielkich nawet trudów, moglibyśmy np. dla sodalisów lwowskich szkół założyć pisemko: miesięcznik litografowany, przez sodalisów prowadzony. Byłaby to zachęta i podnieta i dla nich i dla nas. Raźniej szłaby sprawa naprzód, zyskując więcej pewności siebie i trwałości. A nuż zakazane podobne pismo? Mogą kółka szkolne mieć takie pisemka, dlaczegożby nam nie wolno? Tłumaczą wprawdzie niektórzy przysłowie: *fortes fortuna adiuvat:* „śmiałków psy gryzą“ — ale ile to nieraz sprawa dobra straciła i traci wskutek braku wczesnej oryentacyi i odwagi! Może z czasem udałoby się i poważniejsze, drukowane pisemko, jakie mają Niemcy, zaprowadzić dla sodalisów szkół średnich w Galicyi.

Co do nabożeństw i spowiedzi św. mogliby się sodalisi w jednym oznaczonym kościele raz na miesiąc wspólnie gromadzić i tam po nabożeństwie, nauce stosownej, błogosławieństwie *cum Sanctissimo* przystąpić do spowiedzi św.; mogliby się odważyć na urządzenie raz a może nawet i dwa razy na rok akademii Eucharystycznej lub Maryańskiej wspólnemi siłami — oto myśli i projekty, powstałe, jak to z pomiędzy liter wyziera, w zbyt młodej głowie.

Dobrzeby było, sądzę, sprawę tę omówić na zebraniu Związku katechetów, a gdyby się przyjęła, utworzyć sekcyę dla sodalicyi, by była jednolitość w postępowaniu, by można się wspierać radą i zachętą drugich. Cudów, cudów można dokazać, jak nas wikarych zwykł był zachęcać do pracy w szkole, na katechizacyach, w słuchanicy kochany przez nas X. prałat Czajkowski, proboszcz złoczowski.

X. P. Nowak.

O domowej lekturze religijnej młodzieży.

„Ciemnota i rozpacz: dwie najpiekielniejsze poradnice młodzieży“.
(Krasiński).

Łatwo to zrozumieć, że jasny i ciągle postępujący program pracy jego zawodowej ułatwia katechecie wyzyskanie czasu, okoliczności i swych sił dla dobra młodzieży. W programie pracy katechetycznej daje się często zauważyć zaniedbanie tak ważnego dla nauki religii pomocniczego środka, jakim jest domowa, religijna lektura. A przecie ciemnotę u młodzieży zwalczać trzeba według słów wieszcza jako „najpiekielniejszą poradnicę“. Prawie bezskutecznie uczy czcigodny autor „Przewodnika dla katechetów“ (Przemyśl 1906) że „obowiązkiem jest katechety znać literaturę przeznaczoną dla młodzieży... poznać książki znajdujące się w bibliotece szkolnej“ i pożyczać w szkole książki do lektury duchownej. Prawie bez echa przebrzmiało dawniejsze jeszcze słowo X. dra A. Pechnika nawoływające na wiecu katolickim we Lwowie roku 1896 do tego, aby 1. z podręczników 2. z bibliotek szkolnych usunąć wszystko, coby ujemnie działało na młodzież i 3. „aby

przy bibliotekach dla uczniów zaprowadzić pod kierunkiem i zarządem katechetów, a naczelną kontrolą właściwych władz wyższych, osobne działy popularnych utworów religijnych dla uzupełnienia wykładu religii i ożywienia interesu dla niej u młodzieży“ i wreszcie, aby dostarczać jej czytania duchownego.

W ostatnich miesiącach nasz organ dla katechetów w kilku zeszytach pisze o lekturze dla młodzieży. Dowiadujemy się, że na konferencyi dyrektorów szkół średnich we Lwowie (17. grudnia 1912 r.) wygłosił dyr. Wojciechowski referat, w którym uzasadniał, że pożądanym jest katalog literatury dla młodzieży rozmaitego wieku, uzupełniany z roku na rok. Korreferent prof. M. Mazanowski przedłożył rezolucye, w których między innemi zażądał, żeby wypożyczalnie publiczne ustawowo pociągano do odpowiedzialności karnej za pożyczanie książek nieletniej młodzieży, aby bibliotekami szkolnemi zawiadowano sumiennie, oczyściwszy je z niewłaściwych nabytków. — Do sprawozdania z powyższej konferencyi dodała Redakcya Mies. Katech. prośbę o nadsyłanie recenzyi z książek nadających się dla młodzieży i przytacza gotowy już spis pożytecznej lektury (Patrz zeszyty z r. 1913 styczniowy i lutowy). Jeszcze w listopadowym numerze (1912 r.) podany był referat p. Walczaka „Lektura domowa młodzieży szkół średn.“, gdzie żali się referent, że literatura polska, do niedawna czysta, zaczyna się bardzo brudzić, mącić; żąda więc gruntownej rewizyi bibliotek szkolnych dla uczniów, bo można w tych księgozbiorach spotkać się nawet z „Dzieckiem rozkoszy“ Anunzia; nawołuje wreszcie, żeby z podręczników szkolnych wyrzucono urywki z dzieł Żeromskiego i jemu podobnych i żeby posad polonistycznych w wyższych klasach nie obsadzano żydami. W tymże samym Miesięczniku X. prof. K. Dziurzyński w artykule „O rekolekcyach“ zaznacza, że katecheta powinien mieć pod ręką bibliotekę religijną dla młodzieży i z niej pożyczać zwłaszcza na czas ćwiczeń duchownych.

Jeśli zajrzymy w dzieje szkolnictwa austryackiego, dowiemy się, że były czasy, kiedy uważano, żeby biblioteki szkolne nie posiadały książek pisanych w duchu katolickim — mianowicie w okresie liberalizmu. Duch ten ciężył na bibliotekach jeszcze po r. 1871, w którym (15. grudnia l. 2802) minister oświaty zarządził, że przy każdej szkole ma być księgozbiór dla młodzieży. — Jednakże za ministra Gautscha zwyciężyli katolicy. Oto dnia 16. grudnia 1885 r. (l. 23324) nakazano, że profesor proponujący nowe dzieła do bibliotek szkolnych ma własnoręcznym podpisem poręczyć, że te dzieła nie będą szkodliwe dla młodzieży ani pod względem religijno-moralnym ani patryotycznym (lojalnym). Gdy w latach 1885/6 nastąpiła w tym duchu rewizya bibliotek, autorzy liberalni zrazili się, przestali na jakiś czas pisać dla młodzieży.

W r. 1897 9. grudnia l. 28648 rozporządził minister, że nie wolno uczniom wypożyczać książek z czytelni publicznych. Na tym — wcale zresztą nie obserwowanym — zakazie opierając się, c. k. Rada szkolna krajowa odmówiła pozwolenia, aby młodzież szkół w Tarnowie mogła korzystać z miejscowej biblioteki katolickiej.

Lektura domowa jest nader ważnym czynnikiem wychowawczym. Dlatego też patryoci nawołują do tworzenia literatury narodowej dla młodzieży. Na wiecu katolickim w Poznaniu 1894 roku uchwalono, że koniecznem jest zakładanie osobnych czytelni dla dzieci w wieku 12—16 lat, że przez rozpisywanie konkursów zachęcać należy do tworzenia dobrych książek dla dzieci, że pierwszeństwo dawać trzeba naszym oryginalnym dziełom przed tłumaczeniami, że wreszcie w każdym domu, nawet mniej zamożnym powinien się znajdować zbiorek książeczek dla młodzieży. — Podobne punkta wchodzić mają i w program działalności religijnej. — W Anglii już 1865 r. zakładano publiczne księgozbiory dla dzieci. — W 1905 r. dzięki inicyatywie i pracy W. X. prof. W. Gadowskiego powstała w Tarnowie katolicka biblioteka samokształcenia z osobnym działem dla dzieci zarządzana przez „Stowarzyszenie bibliotek chrześcijańskich“, które i w innych miejscowościach urządziło takie wypożyczalnie.

Co mają w tym względzie czynić katecheci? Oto w imię hasła: „Pomagaj sam sobie a Bóg Ci pomoże“ niech czynią, co możliwe, żeby młodzież usunęła się od złej lektury a miała dobrą, a wśród tej dobrej powinna się wyszczególniać religijna. Dusza młodziuchna ciekawa jest, wyobraźnią głównie żyjąca, jak gąbka chciwie chłonie z książki jakkolwiekbądź zabarwionej, byleby pobudzała wyobraźnię. Tę ciekawość pchnąć silnie na dobre tory! — Widzę raz w szkole uczenicę siedzącą podczas przerwy w ławce, zapłakaną, z książeczką jakąś w ręce. Pytam: Czemu płaczesz? W odpowiedzi pokazała tytuł książeczki: „Genowefa“ — mówiąc: Jużem ją przeczytała, ale ja księdzu nie oddam, nie oddam, ja będę tak długo czytać, aż się nauczę na pamięć. — Oczywiście może jeszcze tylko raz to wzruszające dziełko przejrzała — ale w każdym razie mamy tu przykład, jak bardzo może książka zawładnąć duszą dziecka.

Brodziński, kiedy był chłopięciem, znalazł pomiędzy szpargałami w szafie „Żywoty świętych polskich“ — czytał je chciwie po stodołach i strychach i nie żartem myślał o życiu świątobliwem. — Było to okolicznościowe samokształcenie religijne, katecheta ma ująć je w system, nie zadowalając się tem, że wszystko wykonuje co jest przepisane planem. Ani apatyi ani szablonowi nie składajmy ofiar.

Wiemy to dobrze, że jaka lektura taki sposób myślenia i działania. Książka może być aniołem stróżem, może też być sza-

tanem. Lektura religijna domowa zwiększa inteligencyę ogólną młodzieży (która zwłaszcza w szkołach ludowych za mało czyta), wyrównuje szczerby wykładu religijnego, utrwala ten wykład w pamięci, wyrabia czucie katolickie zwłaszcza na przykładach i wzorach podanych w książeczkach, wskazuje, że jest literatura religijna, którą katolik powinien popierać, kupując wedle możności książki katolickie do domowej biblioteki — usunie wreszcie Sherloki Holmesy i inne podobne utwory.

„Oto proszę Boga, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała w umiejętności i we wszelakiem zrozumieniu“ (Filip. 1, 9) temi złotemi słowy, któreby stawić można jako naczelną maksymę apostołowania, zaczyna Najprzewiel. X. Arc. Dr. Józef Bilczewski swój list pasterski zatytułowany: „Uczyć, uczyć, uczyć!“ Uświadomienie katolickie jest bowiem podstawą życia w duchu Chrystusowym, a wiedzą katecheci, że za mało jest godzin nauki religii, żeby można należycie plan wyczerpać. Trzeba więc uświadamiać poza godzinami szkolnemi, przez tego apostoła, co się wszędzie wciśnie, przez książkę.

W nauczaniu religijnem są braki, powstające także z powodu wadliwości katechizmu. Odwodzi się dość od grzechu — ale za mało wskazuje się na czyny dobre, jakie obecne warunki życia nastręczają; katechizm jest niejako zamało pomysłowym, przedsiębiorczym we wskazywaniu obowiązków i uczynków dobrych, a ludzie są przecie za leniwi w myśleniu o tem, co dobrego mogą uczynić dla drugich. U ogółu katolików jest bardzo wiele dobrych chęci, jest miłość, ale mało umiejętności i zrozumienia ma ta miłość. Stąd pobożność zwłaszcza u kobiet zamienia się często w bezmyślne dewociarstwo. Katechizm też jest za mało społeczny. Dopiero w najświeższych katechizmach (np. X. prof. Gadowskiego) brak powyższy zaczynają autorzy usuwać. Słowem, katechizm nie posiada w sobie suggestywnego działania, aby stwarzać charaktery ofiarne. Uzupełnieniem zatem katechizmu byłyby książeczki budzące zapał katolicki, kierujące jasno do zrozumienia, co to jest charakter katolicki, mówiące o gorliwości apostolskiej, o obronie Kościoła, o popieraniu prasy i organizacyi kościelnej, potępiające bierność katolików owych, co wprawdzie o czystość duszy dbają, grzechów unikając, ale w bezmyślności żyjąc, nic dobrego nie czynią, bo przecie (jak się tłumaczą) jasyru niema, żeby więźniów wykupywać — ani cholery, żeby umarłych grzebać. Niech więc książeczki wskazują im rozległe różnorodne pola pracy katolickiej — jak to w Polsce jeszcze najlepiej widać w Poznańskiem, gdzie katolicyzm okazuje, że ma dzielność żywotną i „zrozumienie“ — zwłaszcza w dziedzinie obrony narodowej. Zaczęli tam od „umiejętności“ a zatem od organizacyi. Lektura domowa, wyraźnie pouczająca o pracy, oszczędności, inicyatywie (której Słowianom szczegól-

nie brak), krzywdach społecznych, — dużo przyczyni się do wyrównania szczerb katechizmu austryackiego. Zarządzający bibliotekami szkolnemi powinni najwięcej takich książek sprowadzać, które mogą umacniać i uszlachetniać słabe lub liche charaktery. — Zwykle po bibliotekach pełno dzieł, rozwijających tylko wyobraźnię, mających taką wartość, jaką ma dzisiejszy kinoteatr.

W jaki sposób przeprowadzić sprawę lektury domowej? — Usunąć złą — dobrą ułatwiać usilnie i wytrwale. Przejrzeć więc naprzód bibliotekę szkolną i wyrzucić z niej książki rzeczywiście szkodliwe dla młodzieży, przenosząc je np. do księgozbioru nauczycielskiego.

A że nie wystarczy zrzędzić — choćby ciągle — na złe dzieła, dobijać się należy u kierownika szkoły o pożyteczne, uwzględniając oczywiście literaturę religijną. Dobrzeby podawać pokrótce do „Miesięcznika“ wyniki takich lustracyi bibliotek szkolnych. — Okaże się przedewszystkiem, że są one bardzo ubogie, mizerne pod każdym względem a nadto nadarzą się rozmaite niespodzianki, świadczące, jak mało zważa kierujący biblioteką na dobór książek, jak szerokie ma nieraz sumienie. Byłoby pożyteczną rzeczą umówić się z dyrektorem o swoje „placet“ na sprowadzane książki, boć przecie katecheta ma odpowiedzialność największą za moralność młodzieży, musi więc mieć odpowiednie prawa. Ponieważ bardzo trudną jest rzeczą dokołatać się o większą ilość książek religijnych do biblioteki szkolnej, możnaby różnymi sposobami (np. przez odczyty biblijne ze skioptikonem) zebrać fundusze na osobny dział religijny w bibliotece, którymby zawiadował sam katecheta. A może gdzie koło T. S. L. zechce pod wpływem księdza utworzyć po swych szkółkach taki katolicki zbiorek dziełek dla dziatwy. Pożyczałby nauczyciel w szkole zaraz po nauce religii lub katecheta. — T. S. L. popełnia błąd w tem, że koniecznie chce dokonać tego cudu (który się nie uda), żeby starzy chłopi, ledwo się podpisujący, przeczytywali biblioteki czytelni wiejskich, a tymczasem najlepiej zacząć od młodzieży, a najlepszą sposobność i zachętę do rozczytania się (doświadczyłem tego po licznych wiejskich szkółkach*) daje się przez pożyczanie książek w szkole zaraz po nauce, bo w czytelni nie zawsze łatwo pożyczyć.

A jeśli starania się u władz i instytucyi oświatowych i dobroczynnych zawiodą, nie pozostaje nic innego jak utworzyć własną, podręczną prywatną biblioteczkę dla młodzieży, jakto niektórzy katecheci już oddawna czynili. Wolno jest bowiem każdemu nauczycielowi pożyczać uczniom książki w zakresie swego przed-

---

*) Patrz artykuły w Dwutygod. katech. „Biblioteczki dla dziatwy szkolnej“ (1905 r. str. 180) i „Żywoty Świętych do rąk młodzieży“ (1908 r. str. 18, 90).

miotu (reskrypt ministerstwa 28. listopada 1879 r. l. 18570). — Koszta takiego pożyczania nie są małe, kto jednak praktycznie weźmie się do rzeczy i nie kupi książek tylko balast tworzących, jeno tanie (a dobrze oprawne, bo inaczej wnet się zniszczą) i rzeczywiście pożyteczne, koszt nie będzie zbyt znaczny, a owoce wielkie. Ofiara taka może być dobrem zadośćuczynieniem, jeśli się kiedy przypadkowo niedbale traktowało katechizowanie. Dążyć przytem do tego, żeby na premie pilności dawano szczególnie życiorysy Patronów św. — Zamiast obrazków, których całe stosy mają nieraz uczenice, lepiej rozdawać na zachętę do nauki tanie książeczki. Dostałem był w 4-tej pospolitej od swego katechety X. K. broszurę: „Żywot św. Alojzego“ (rycinami pięknie zdobną), chętnie ją czytałem i dotychczas przechowuję jako miłą pamiątkę, podczas gdy obrazki prawie wszystkie poginęły.

Na początku roku w I. egzorcie zachęcać do czytania tak, aby książki religijne stały się pożądanemi, nawet dla leniwych i apatycznych. Mogę powiedzieć na podstawie doświadczenia, że dziatwa za karę sobie poczytuje, gdy ksiądz nie pożyczy ciekawej książki. Oczywiście zważać należy, aby przez lekturę domową nauki szkolnej nie zaniedbywano. Pożyczając, uwzględniać charakter,, wady ucznia i odpowiednich książek dostarczyć np. pysznemu o pokorze, synowi alkoholika o zupełnej wstrzemięźliwości itp. Pożyczać tak, aby nie odstręczać żadnemi trudnościami, a zatem w klasie albo po wykładzie (nigdy na początku godziny) albo na przerwie, a należycie zapisywać (według numeru) w notesie swoim obok not, nie ufając zbytnio nawet dobrym uczniom, gdyż w naszem społeczeństwie powszechne jest niedbalstwo ogromne co do oddawania pożyczonych rzeczy. Niszczącym książki nie pożyczać za karę przez jakiś czas. Jakie zainteresowanie budzi lektura domowa, można dowiedzieć się od rodziców, a nawet według zmięć, plam itp. znaków, można na książce poznać, która jest najwięcej zajmująca. Pożytecznem jest poradzić uczniom, żeby w osobnym zeszycie wypisywali sobie, jakie dzieła przeczytali i co z tych dzieł skorzystali — a zarazem notowali złote myśli, postanowienia. Takim pilnym dawać w nagrodę tanie książeczki, zachęcając do założenia własnej biblioteczki. Od czasu do czasu przy zwracaniu książek żądać sprawozdania ustnego i dawać za to noty z lektury domowej*). Przypominać należy, jak to radzi Jachowicz „że książka nie dla chwilowej napisana zabawki, ale na to, aby dzieci czyniła lepszemi i w najpiękniejszej porze wieku zaszczepiła w ich sercach cnotę, wytępiła złe skłonności, oświeciła umysł... Rodzice niech z niemi czytają“.

---

*) Zachęcać zdolniejszych do odczytów o tendencyi szlachetnej, religijnej, zadawać zadania domowe religijne.

W ten sposób przez lekturę domową nie tylko, że usunie się wiele błędnych pojęć w dziedzinie religii, jakie tkwią często w umysłach niedość uświadomionych katolików, ale nadto młodzież szkolna, przyzwyczaiwszy się do czytania religijnego, będzie choć potrochę i w późniejszym wieku czytać z katolickiej literatury, co jest bardzo ważnem ze względu, że Kościół najczęściej traci wpływ na młodzież, kiedy ona szkołę opuści.

Jakie mają być książki przeznaczone na domową lekturę religijną? Przedewszystkiem nie nudne, nie przesadzające w moralizowaniu, bo można w ten sposób zupełnie zrazić do literatury katolickiej. Powinny być zrozumiałe, jak najwięcej popularne, a gdy są dla dzieci przeznaczone, treść ma być ujęta w formę fabularną, powiastkową. Nawet młodzież dorosła rwie się przecież do „bajek". Chrystus Pan pouczał przez porównania, opowieści, przykłady. — Dlaczego biblia jest najmilszą z przedmiotów religijnych? Bo podaje prawdy w formie opowieści, a nadto zawiera obrazki, które wyjaśnić sobie pragną oglądające je dzieci.

„Ludowi — mawiał Mickiewicz — gdy kto mówić będzie np. o tym dziadzie, co miał brodę na łokieć, a sam był jak paznokieć, to lud go słuchać będzie poważnie i zrozumie częstokroć sens moralny". Podobnie ma się rzecz z pisaniem i pożyczaniem książek dla młodzieży szkół niższych. — Treść ma zawierać raczej wzory cnoty, szlachetności, niż przykłady grzechu, choćby najstraszniej przez Opatrzność karanego. Pożądane są opowiadania z życia Kościoła i Świętych, jakie np. pomieściła Jadwiga z Łobzowa w barwnej książce: „W blasku słońca".

Mamy bardzo mało książek religijnych pisanych dobrze dla młodzieży, prawie, że nie posiadamy ich wcale. I w powszechnej literaturze dla wieku młodszego są znaczne wady i braki, na co żali się K. Bartoszewicz (w „Straży Polskiej" 1908 r. 8 nr.) powiadając, że Dicki, Tomy, Bille, „Wielkie Orły", „Ryczące Lwy", „Nieustraszone Bawoły" są bohaterami stawianymi przed oczy młodzieży polskiej. Wychowuje się ona wśród panter, tapirów, pawianów i nosorożców, wie dokładniej o Kalifornii, o drzewach Missisipi, o faunie i florze brazylijskiej aniżeli o polskiej. Słowem, młodzież polska karmiła się „indyjską literaturą" — a teraz w modzie jest K. May, który swemi dziełami działa jednostronnie na dusze młodzieńcze, bo zanadto rozbudza wyobraźnię, dlatego w bawarskich szkołach zakazany. Skoro zaś i w literaturze powszechnej dla młodzieży mało rzeczy dobrych — można już *a priori* powiedzieć to samo w wyższym stopniu o literaturze religijnej dla bibliotek szkolnych. Niema np. książeczki, którąby popularnie, zajmująco, dokładnie opisywała Mękę Pańską, żeby nauczyciel lub nauczycielka w szkole wiejskiej mogła czytać ją dziatwie w czasie rekolekcyi — lub pożyczać na lekturę w czasie wielkopostnym.

Na czas przygotowania do pierwszej spowiedzi, do pierwszej Komunii, zaledwie parę mamy próbek, któreby można z pożytkiem polecić do czytania.

Książki religijne przeważnie napisane są bez tchnienia poezyi, często zamiast przystępnie, po prostacku, jakby umyślnie unikały wszelkiej wartości literackiej. Wprawdzie ze sztuki nie należy sobie robić bożka i złem jest, jeśli najwyższem prawidłem w wychowaniu (taki jest ruch teraz na Zachodzie) jest „wychowanie dla sztuki" — ale dla czegoż książka religijna ma być tak pisana, jakby ją jakaś pobożna kucharka skleiła?

We wszechświatowej literaturze dla dzieci największą może rolę odegrał X. kan. Krzysztof Schmid, który zmarł w Augsburgu w połowie XIX. wieku, jako starzec 86 letni. Powiastki jego przetłumaczono na 24 języki i niejedna łza współczucia lub radości dziecięcej padła na karty jego dziełek. W Austryi współcześnie napisał L. Chimani około 100 dobrych książeczek dla młodzieży. U nas z dawnych Jachowicz, Hoffmanowa zasłużyli się najwięcej w tej dziedzinie, a w nowszych czasach: W. Bełza, Or-Ot, J. Chęciński, Pruszakowa, Zaleska, Marya Weryho, Krakowowa, Morawska, Bukowiecka, Urbanowska, Jadwiga z Łobzowa, Przyborowski. W dziedzinę tę wstąpił także Sienkiewicz, dając dzieło niezwykłej wartości „W pustyni i puszczy", tłumaczone na inne języki.

Ogromne braki w literaturze religijnej dla młodzieży, niejako wołają do księży, zwłaszcza katechetów, aby nie bali się wziąć pióra do ręki i próbować swych sił literackich w pisaniu dla dziatwy. Jeśli w dziełku będzie sporo zajmujących przykładów na temat w tytule oznaczony, to już będzie ono pożyteczne. Zaczynać od drobnych wydawnictw. Instytucye katolickie, zwłaszcza Związek katechetów, powinny ogłaszać konkursy*) na takie książeczki. Tenże Związek (a wszyscy księża niech się doń wpiszą), skoro niema zasobów na takie wydawnictwa katechetyczne, jakie np. drukuje Kösel w Kempten, powinien przynajmniej wydawać ulotne broszurki w rodzaju tych, jakich setki tysięcy puszcza w świat dziecięcy „Kinderfreund-Anstalt" w Insbruku. (U nas księgarnia dra Miłkowskiego w Krakowie wydała bardzo pożyteczną wkładkę do książki mającą tytuł: „Wakacye dziewicy"). Gdyby katecheci zobowiązali się rozszerzać takich centowe pisemka, byt wydawnictwa byłby zapewniony, pożytek większy niż z rozdawania przeważnie zagranicznych obrazków i medalików. Umie zyski ciągnąć księgarz wiedeński Hohlwed, który rozszerza dwu-

---

*) *Dop. red.* Na konkurs, ogłoszony przez wydział naszego Związku Katechetów (p. Mies. Kat. i Wych. z r. 1911, str. 48), nie przysłano ani jednego dziełka!

groszowe bajki z rycinami kolorowemi i tekstem na kilku kartkach — toż przecie dziwnemby było, gdyby katecheci, którzy łatwo mogą być zorganizowaną armią dla szerzenia katolickich druków, nie potrafili podtrzymać i rozwinąć swego wydawnictwa wspólnego. Mielibyśmy wtedy dobrze redagowane książeczki do modlenia dla dziatwy, notesiki i kalendarzyki z katolickiemi hasłami, czasopismo dla dzieci katolickich (najtańszem jest nowe pisemko „Miesięcznik dla dzieci“ 40 gr. rocznie, adres: „Praca“ Poznań — Posen, Ritterstr. 38) — boć komu łatwiej być apostołem prasy jak nie księdzu? Trzeba nam nad tem pomyśleć i wytrwale chcieć i agitować dla Chrystusa!

Ażeby ułatwić wyszukanie dzieł dla młodzieży i żeby mieć kontrolę tej literatury, koniecznym jest katalog. Inaczej może się dziać, że dobre książki długie lata zalegają półki księgarskie, jak np. „Księżniczka“ Urbanowskiej, jedna z najcelniejszych naszych książek dla dziewcząt. Takie spisy pojawiają się często w Niemczech i Austryi dzięki pracy Fischera, Panholzera, Langthalera. W 1906 r. wyszedł w Wiedniu katalog p. t. „Wegweiser durch die Jugendliteratur“ (str. 376), który podaje przeszło 5680 dzieł, broszur i czasopism, oceniając je według zasad katolickich. Związek katolicki nauczycieli ludowych postarał się o ten spis — opierając się głównie na żmudnej pracy X. Langthalera, który pół życia poświęcił badaniu literatury dla młodzieży. Niemcy dążą do dzieła w wielkim stylu, któreby przedstawiło dzieje literatury dla młodszego wieku prreznaczonej. U nas trudno i o znaczniejsze zaczątki takiego dzieła. (Dok. nast.)

X. Józef Makłowicz.

Nauka przed spowiedzią.

„Pokutujcie i nawróćcie się, aby były zgładzone grzechy wasze“. (Dz. Ap. III. 19).

1. Jednym z najnieszczęśliwszych ludzi, o jakich opowiada Pismo św., był ów biedak, który przez długi szereg (38) lat nie mógł dostać się do cudownie uzdrawiającej sadzawki zwanej „Bethsaida“. Czasu pewnego wstępował w nią Anioł i wtedy poruszała się w niej woda a kto wówczas wszedł pierwszy, odzyskiwał zdrowie, chociażby najcięższa była jego niemoc. Ale ów biedak skarżył się boleśnie przed Zbawicielem, że o własnych siłach nie może dojść do wody a nikt go nie chce do niej zanieść: „Nie mam człowieka“ mówił. (Jan V. 2—7). I dziś są takie źródła cudowne — i dziś spieszą tysiące pielgrzymów do Lourdes, aby tam szukać lekarstwa i w każdym roku pow-

raca wielu, opuszczonych już przez lekarzy, do domów swoich, składając dzięki serdeczne Matce Najświętszej za przywrócone im zdrowie. Ale jakkolwiek wolno nam się cieszyć i powinniśmy się cieszyć z takiego daru, bo słusznie poczytują wszyscy zdrowie cielesne za najcenniejszy z pośród darów ziemskich, to jednak jeszcze większem i bez porównania większem jest dobrodziejstwem, kiedy łaska Boża uleczy duszę zranioną i do nowego powoła życia zabitą! Całkiem podobną do owego chorego jest dusza człowieka, który popełnił grzech śmiertelny i przez to zerwał z Bogiem, odwrócił się od Niego, stał się Jego nieprzyjacielem: dusza taka złożona jest ciężką niemocą; nie potrafi ona nic zrobić dobrego, nic zasługującego na żywot wieczny; jest ona jakby drzewem uschłem, nie wydającem owocu i dlatego przeznaczonem na spalenie. „Masz imię, że żyjesz, aleś jest umarły!“ te słowa św. Jana (Obj. III, 1.) dadzą się zastosować do każdego grzesznika: „masz imię, że żyjesz!“ — Ludzie mówią o tobie i ty sam myślisz, że żyjesz; owszem zdaje się, że w całej pełni używasz życia ziemskiego, zapomniawszy o drugiem, wiecznem; — aleś „jest umarły“, bo w sercu twojem niema żywej wiary, nadziei i miłości, niema Tego, który duszę ożywia, niema Boga żywych i umarłych, niema Ducha św.! Możesz się ruszać i krzątać po świecie, możesz na pozór dużo nawet robić i wzbudzać podziwienie swoją zdolnością i działaniem swojem, ale to wszystko nie przynosi prawdziwego pożytku ani bliźnim twoim ani tobie samemu; i napróżno będziesz w siebie wmawiał i w drugich, że to jest życie prawdziwe, bo kłam zadawać będzie twym słowom własne serce twoje, które jest stworzone dla Boga i w Nim tylko jednym znajdzie spokój, zadowolenie i szczęście!

2. Jeżeli zaś z jednej strony dusza grzesznika podobna jest do owego chorego, to z drugiej strony św. Sakrament Pokuty da się bardzo dobrze porównać z ową cudowną sadzawką. Dosyć bowiem raz tylko wejść do tej sadzawki, a już dusza nasza będzie zdrową i dawne odzyska siły i poczuje w sobie ów święty ogień miłości, który na ziemię przyniósł Pan Jezus. Dziwna, zdumiewająca odmiana! „Od Pana się to stało i dziwne jest w oczach naszych!“ możnaby zawołać z psalmistą (117, 23), kiedy się widzi, jak niejeden człowiek podobny do wilka, żarłoczny, drapieżny, opanowany przez rozszalałą namiętność, zmienia się zupełnie po jednej lub kilku spowiedziach: już on nie złorzeczy, nie przeklina, nie miota się, nie szarpie sławy bliźniego, nie pogrąża się w kałuży rozkoszy cielesnych, a za to najpiękniejsze cnoty zakwitają na oczyszczonej niwie jego serca. Takie cudowne skutki sprowadza ten

Sakrament, bo ilekroć przyjmujemy go godnie, spływa na naszą duszę Krew Przenajdroższa, za nas przelana na wyżynie Golgoty.

3. Jeżeli jednak chcecie skutków tych doznać na sobie, roztrząśnijcie jak najtroskliwiej swoje sumienie, zaglądnijcie w najskrytsze jego kryjówki i z całą szczerością wypowiedzcie wszystko — wszystko, co was niepokoi, co wam wyrzuca sumienie! Nie dajcie się powstrzymać wstydem lub obawą od szczerej, zupełnie szczerej i dokładnej spowiedzi! Gdyby w konfesyonale siedział jeden z owych czystych duchów, które są wolne od naszych ułomności, mógłby nam wstyd zamknąć usta jak kłódką; ale tam siedzi człowiek równie słaby jak my i dobrze wiedzący, jak łatwo nam upaść; ten człowiek był także młodym i może tych samych dopuszczał się grzechów, które wy chcielibyście przed nim zataić. Jeżeli zaś jest świętym, jeżeli dusza jego nie splamiła się nigdy grzechami ciężkimi, to jeszcze bardziej możemy być pewni, że on nas nie zgromi, nie potępi, nie odtrąci od siebie, ale z najczulszą przyjmie nas miłością i uczyni wszystko, co uczynić może, aby uleczyć rany naszej duszy. U św. Filipa Nereusza spowiadał się wśród wielu innych także młodzieniec, który oddawał się nałogowo grzechowi nieczystemu. Święty nie skarcił go surowo, nie zgromił, tylko polecił mu, żeby spowiadał się i przystępował do Komunii św. codziennie, bo nigdy nie zgrzeszył w tym dniu, w którym przyjął P. Jezusa. Spowiadał się więc ów młodzieniec i komunikował codziennie przez pół roku i to go uratowało, to sprawiło, że podźwignął się ze strasznego nałogu.

4. Zresztą co się tyczy grzechów przeciwnych czystości, których skutki niszczące bywają najstraszniejsze w wieku młodocianym, to posłuchajcie szczerej mojej rady, żebyście zawsze naprzód zeznawali jak najdokładniej, co was może pod tym względem niepokoi; a więc najpierw czy popełniliście jakie uczynki przeciwne 6-mu przykazaniu sami lub w towarzystwie, czyście może dotykali się swego ciała bez koniecznej potrzeby dla sprawienia sobie przyjemności, ileście razy zrobili to mniej więcej. A dalej: czy nie bawiliście się myślami brzydkiemi z upodobaniem; trzeba bowiem odróżniać myśli, obrazy, które nasuwają się same wbrew naszej woli, trzeba odróżniać poruszenia cielesne, których człowiek sam nie wywołał, od myśli i pożądań całkiem dobrowolnych: jeżeli złe myśli przychodzą same, jeżeli nas niepokoją i budzą w nas niezadowolenie, niema w nich żadnego grzechu i niema nawet potrzeby o takich myślach mówić przy spowiedzi. Dopiero wtenczas myśl staje się grzechem, kiedy człowiek zajmuje się nią chęt-

nie, z upodobaniem albo kiedy ją sam sobie sprowadza, czytając złe książki, przypatrując się obrazkom bezwstydnym itp. Wtenczas trzeba powiedzieć dokładnie, o czem myślałeś i jak często, czy codziennie, czy raz na tydzień, czy rzadziej. Także rozmowy i żarty o rzeczach brzydkich należą do koniecznej materyi spowiedzi; tu trzeba także dodać, z wielu rozmawiałeś osobami, bo to jest t. zw. grzech „cudzy", to znaczy, że będziesz odpowiadał przed sądem Boskim i za siebie i za tych, z którymi rozmawiałeś, bo im dopomagasz do grzechu i przyczyniasz się do ich zepsucia, chociażby oni sami zaczynali takie rozmowy. Jeszcze zaś bardziej potęguje się złość tego grzechu, jeżeli stajesz się gorszycielem młodszych od siebie: „Biada człowiekowi" powiedział P. Jezus „przez którego zgorszenie przychodzi!... Ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy w mię wierzą, lepiej mu aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej." (Mat. 18, 7. 6).

5. Jeżeli więc w taki sposób będziecie, drodzy bracia moi, sumienie swoje roztrząsali i wzbudziwszy w sobie skruchę prawdziwą, powszechną i powziąwszy mocne postanowienie poprawy, wyznacie swoje przewinienia szczerze i dokładnie, wtenczas spowiedź wasza będzie, jaką być powinna, wtenczas Krew przenajdroższa Pana i Zbawcy naszego oczyści dusze wasze z wszelkiej plamy i doda wam siły do zwalczenia każdej pokusy i do wytrwania w dobrem aż do końca! Nie o to chodzi, żeby wam wspomnienie występków waszych sprawiało boleść dotkliwą, żebyście ją czuli, bo to od waszej woli nie zawisło, ale o to chodzi, żebyście zerwali stanowczo, na zawsze haniebne więzy grzechowe, żebyście przestali grzech miłować, żebyście czynami swoimi okazywali, iż pragniecie służyć nie sobie, nie ciału, nie szatanowi, ale Temu, który was stworzył, który was odkupił męką straszliwą i śmiercią na krzyżu, który was poświęcił i ciała wasze swoją uczynił świątynią! Temu Panu nad pany i Dawcy wszelkiego dobra, który dziś was wzywa do siebie z najczulszą miłością, ale kiedyś będzie waszym Sędzią, postanówcie sobie oddać się na służbę, żebyście wedle sił swoich przyczynili się do Jego chwały, żebyście okazali Mu wdzięczność za nieocenione Jego dobrodziejstwa i żebyście za to sami mogli się cieszyć szczęściem sprawiedliwych i tu na ziemi i przez całą wieczność. Amen.

X. N.

Przemówienie przy poświęceniu sztandaru szkolnego.

Droga Młodzieży!

Cóż to za sztandar niezwykły unosi się dzisiaj nad głowami twojemi?

Jakież to znaki na nim widnieją?

Komuż on ma służyć?

Gdzie hufiec rycerski, któremu on ma przewodniczyć?

Był czas, gdy hufce polskie zbrojne, ze skrzydłami u ramion, ze sztandarami na czele, z pieśnią Bogarodzico na ustach, szły w bój krwawy z wrogiem ojczyzny. W chwilach największego niebezpieczeństwa skupiały się około swego sztandaru i broniły go piersiami własnemi, aby nie wpadł w ręce nieprzyjaciela.

I wsparte błogosławieństwem Bożem, zwyciężały wroga nieraz liczebnie znacznie silniejszego.

Gdzież są dziś ci dawni Polacy, rycerze i bohaterzy z pod Grunwaldu, Chocima i Wiednia? Gdzie ich sztandary?

Rycerze zapadli się w mogiły, sztandary ich zbutwiały, albo co gorsza dostały się w ręce obce, jako trofea zwycięskie i zdobią dzisiaj muzea cesarskie w Wiedniu, Berlinie i Petersburgu.

I Polak, zwiedzając dziś te muzea i patrząc na te dawne polskie chorągwie i sztandary, spuszcza ze wstydem głowę.

Ale w miejsce dawnych hufców polskich wyrastają świeże, pełne siły i życia, w miejsce dawnych sztandarów powstają nowe.

I ty, droga młodzieży! tworzysz taki hufiec zwarty i tyś pragnęła sztandaru i dzisiaj masz go wreszcie.

I cóż na nim widnieje?

Czy on przypomina w czem dawne polskie chorągwie i sztandary?

I owszem. Widać na nim stare nasze polskie hasło, które przyświecało naszym przodkom przez 1000 lat istnienia naszego narodu: Bóg i ojczyzna!

Z jednej strony bowiem błyszczy na nim św. Stanisław Kostka, z drugiej Orzeł biały!

Św. Stanisław Kostka, rodak nasz przesławny, rówieśnik twój, droga młodzieży, głosi Ci i przypomina hasło: Bóg.

Bo on jest wzorem miłości i wierności względem Boga, względem wiary i Kościoła św. katolickiego. Wszak on w tak młodym wieku już świętym został.

Bóg ma być dla ciebie, droga młodzieży, głównym i pierwszem hasłem za młodu i w całem późniejszem życiu! Jego wola ma Ci być najdroższą, Jego nauka najmilszą, Jego łaska, zwłaszcza złożona w Św. Sakramentach, najpożądańszą tak, iżbyś mogła nie tylko usty, ale sercem, ale duszą całą powtarzać wraz z drugim twoim przesławnym Patronem i wzorem, św. Królewiczem Kazimierzem: Mori potius, quam foedari, — raczej umrzeć, niż grzechem się splamić!

Obok tego godła widnieje na sztandarze twoim orzeł biały, symbol Polski, który Ci głosi drugie hasło: ojczyzna!

Ty masz kochać ojczyznę swą Polskę, ty masz o niej myśleć i pamiętać i teraz i w całem późniejszem życiu, ty masz służyć ojczyźnie. Ty masz powtarzać za biskupem-poetą z czasów Stanisławowskich:

„Święta miłości kochanej ojczyzny!
Znają cię tylko umysły poczciwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe,
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe!
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!“

(Ignacy Krasicki).

Te oba hasła: Bóg i Ojczyzna widnieją na jednym i tym samym sztandarze po obu jego stronach, na znak, że one mają iść razem w życiu twojem, że miłości Boga od miłości ojczyzny oddzielać nie wolno!

Powiesz, droga młodzieży: Wiem już, co ten sztandar oznacza, lecz jakiż to bój mam staczać pod tym sztandarem? Gdzie wróg, którego mam pokonać z hasłem: Bóg i Ojczyzna?

Nie szukaj go daleko!

Tym wrogiem to są przedewszystkiem twoje błędy, twe słabości, twe złe żądze i grzeszne namiętności.

Twoim wrogiem jest pycha i zarozumiałość, twoim wrogiem jest nieposłuszeństwo, twoim wrogiem jest wstyd fałszywy, twoim wrogiem jest zmysłowość i rozpusta. Ten wróg czyha na twe dobro i szczęście już teraz za młodu i czyhać będzie przez całe życie.

Zwalczaj tego wroga wewnętrznego, a odniesiesz najświetniejsze zwycięstwo. Wszak już starzy Rzymianie powtarzali: Se ipsum vincere summa victoria.

Gdy się nauczysz za młodu siebie pokonywać, potrafisz później sprostać tym obowiązkom, jakie cię czekają względem Boga i ludzi.

Do tego boju wzywa cię przepięknie nasz największy wieszcz narodowy:

„A ze słabością łamać uczmy się za młodu!
Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze,
Ten młody zdusi centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!“
(„Oda do młodości.“)

Gdy tego zwycięstwa dokażesz, odniesiesz łatwo i wszelkie inne, bo naród moralny stanie się rychło wolnym. Dlatego słusznie pisze biskup-wygnaniec Adam Stan. Krasiński:

„A nim Bóg znowu plemię jakie w naród zbudzi,
Chce, ażeby wprzód ludzie wyrośli na ludzi.“

Do ciebie się teraz zwracam, piękny sztandarze młodzieży gimnazyum V-go w Krakowie: Ave! Witaj! Cześć Ci i sława!

Bujaj swobodnie i wysoko nad głowami tej młodzieży, a nie tylko tej, ale tych pokoleń, tych tysięcy, które po niej przyjdą do tego zakładu i pod tobą gromadzić się będą!

Unoś się zawsze nad młodzieżą czysty, nieskalany, nie zbrukany, ani pychą, ani lenistwem, ani rozpustą tych, którzy cię dzierżyć i za tobą kroczyć będą!

Wznoś szlachetne w górę swoje czoło, nie zginaj go przed nikim, tylko przed Bogiem i przed prawdziwą zasługą!

Poświęconyś w 16-o wiekową rocznicę nadania wolności Kościołowi przez Konstantyna Wielkiego, niech to będzie dobrą wróżbą dla ciebie i dla tych, co będą za tobą kroczyć!

Wołaj na nich głośno, aby nie tracili nadziei, póki są żywi, aby się wpatrywali w godła, jakie na tobie błyszczą, aby żyli pod hasłem: Bóg i Ojczyzna!

Wołaj na nich owem starem Konstantynowskiem:

.In hoc signo vinces! W tym znaku zwyciężysz!

X. Mateusz Jeż.

Nowe książki.

Instrukcya i plany dla nauki religii w szkołach ludowych pospolitych, wydziałowych i uzupełniających, wydane przez Ordynaryat Metropolitalny lwowski o. ł. Lwów. 1913. Stron 91. Cena 1 kor. Do nabycia w księgarniach i w redakcyi „Gaz. Kościelnej“.

Z radością pospieszamy donieść o wydaniu tej Instrukcyi i tych planów, których potrzebę odczuwali już dawno wszyscy

XX. Katecheci. Część I. poucza o celu i zadaniu nauki religii, o zadaniu katechety jako wychowawcy i pasterza dusz, o przygotowaniu dzieci do św. Sakramentów, o zasadach metodycznych dla nauki religii itd. Część II. zawiera plany szczegółowe wraz z potrzebnemi objaśnieniami.

Plany te różnią się tylko w pewnych szczegółach podrzędnych od tych, które były już zaprowadzone prowizorycznie we Lwowie i które ogłosiliśmy w r. 1911 w naszym „Miesięczniku" (str. 368—389). Głównym ich autorem jest X. Zygmunt Bielawski. Koło lwowskie Katechetów obradowało kilkakrotnie nad jego projektem i uznało go za bardzo dobry po pewnych modyfikacyach.

Plany te przyczynią się zapewne bardzo do ujednostajnienia i udoskonalenia nauki religii w szkołach naszych. Wyborne są także wskazówki, zawarte w dodanej Instrukcyi. Wiadomo, że nieraz najzdolniejsi i najgorliwsi katecheci popełniają różne błędy mniej lub więcej szkodliwe w nauczaniu dlatego tylko, że im nikt nie udzielił przestróg potrzebnych. Otóż przeczytawszy uważnie tę Instrukcyę, będą wiedzieli, jakich zasad mają się trzymać i jakich błędów unikać.

Z szczególną zaś przyjemnością przeczytałem ustęp na str. 30—31, zwracający uwagę na potrzebę nauczania a p o l o g e t y c z n e g o już w szkołach wydziałowych i zdanie na str. 77, że w szkołach uzupełniających „przewodnią myślą nauki katechizmu powinna być apologetyka (zwłaszcza w szkołach miejskich) i zaznajamianie młodzieży z zasadami chrześcijańskiego życia".

„Dodatek" zawiera „wykaz materyału pamięciowego z katechizmu" i „literaturę pomocniczą".

X. J ó z e f W ą t o r e k. **Nauki majowe.** Tarnów 1913. Stron 209. Cena 4 kor.

Znany już dobrze ogółowi XX. Katechetów Autor i wysoko ceniony nasz współpracownik ogłosił pod napisem powyższym nauk 32, które można odczytywać wiernym na nabożeństwie majowem, które też dostarczają dużo dobrych myśli do egzort i innych utworów homiletycznych. Tematy są wszystkie trafnie dobrane i zastosowane do potrzeb wiernego ludu: „Marya mistrzynią życia naszego, — Marya uczy nas miłości Boga, — o przeszkodach miłości Bożej, — o umartwieniu na wzór N. Maryi P., — Marya uczy nas łagodności" itd. Nauki te odznaczają się namaszczeniem, polotem, werwą kaznodziejską; — wysłowienie Autora jest poprawne i potoczyste. Dobre porównania, przykłady i cytaty z poetów przyczyniają się bardzo do urozmaicenia i upiększenia tych nauk. Wolelibyśmy tylko, żeby czcig. Autor nie używał wyrażeń obcych, dla lu-

du niezrozumiałych, jak np. „w charakterze aniołów pokoju“ etc. (str. 82) „absolutnie“ (str 83). Gdzieniegdzie uderza brak dobrego związku albo nawet sprzeczność między jednem zdaniem a drugiem, spowodowana zapewne pospiechem i nieuwagą; i tak czytamy na str. 86: „Jeszcze w wiekach średnich kierowano się t. zw. „prawem pięści“. Komu tam w głowie było litować się nad bliźnim, odpuścić mu winę, albo złe dobrem odpłacić!“. — Jakże to? — Wieki średnie nie znały litości? — Ale może to jakiś błąd drukarski, — bo w tej samej nauce pisze Autor na str. 89: „Wieki średnie zaznaczyły głębokie poczucie miłosierdzia Chrystusowego licznemi fundacyami dla ubogich“ itd.

Uważaliśmy za swój obowiązek zwrócić uwagę szan. Autora i tych, którzy z nauk jego będą korzystali, na te usterki, ale nie chcieliśmy przez to osłabić znaczenia oceny pochlebnej, wypowiedzianej na początku.

X. P.

X. Mateusz Jeż. „**Nauka wiary katolickiej.**“ Część II. Podręcznik dla szkół średnich. Kraków. 1913. Stron 111. Cena egz. opr. w płótno 1 kor. 60 hal.

Nowy ten podręcznik znanego chlubnie i przez ogół Katechetów wysoko cenionego autora odznacza się tymi samymi przymiotami, które przyznaliśmy przed laty w „Dwut. Kat“. Części I jego „Nauki wiary“, przeznaczonej dla klasy 5-ej gimn. Poucza on uczniów kl. 6-ej w sposób bardzo zwięzły i łatwo zrozumiały o prawdach, które plan nauki religii każe w klasie tej wykładać. Można wprawdzie przewidzieć, że niejednemu z XX. Katechetów wyda się podręcznik ten za krótkim, że niejeden zarzuci mu brak wielu rzeczy, które zawierają inne podręczniki „Dogmatyki szczegółowej“ a w pierwszym rzędzie cenna książka X. Dra Sieniatyckiego, więcej niż dwa razy obszerniejsza (jeżeli uwzględnimy znaczną ilość ustępów, odbitych drobnym drukiem). Z drugiej jednak strony nie brak pedagogów, którzy dają pierszeństwo podręcznikom krótkim przed obszernymi. Naszem zdaniem objętość książki szkolnej powinna być, ogólnie mówiąc, taka, żeby na każdą lekcyę wypadały mniej więcej dwie strony zwyczajnego formatu a w każdym razie nie wiele więcej, a zatem i podręcznik dogmatyki szczegółowej powinien liczyć tylko około 120 stron, jeżeli mamy doprowadzić do tego — bez nadmiernego obarczenia młodzieży, — żeby każdy uczeń przyswoił sobie należycie całą jego osnowę. Podręcznik ma zawierać n. zd. krótkie streszczenie wykładu katechety, który może i powinien, prawdy w nim zawarte szerzej rozwinąć i wyjaśnić. Trzeba zaś zważyć, że uczniowie klasy 6-ej są jeszcze dziećmi nie zdolnemi do głębszego wnikania w prawdy wiary i dlatego może im

wystarczyć to, co im podaje książka X. Jeża. Dodatek zawiera: 1.) dobre pouczenie o „celowości ciała ludzkiego"; 2.) piękny wiersz (H. W.) o nieśmiertelności duszy i 3.) pieśni: „Ave, maris stella" i „Dies irae".

X. P.

X. J ó z e f S o s i n. **Nauki niedzielne dla dzieci.** Kraków 1913, stron 229 w 8-ce. Cena 3 Kor.

Szan. Autor, katecheta szkoły ludowej w Jaworznie, wyczonych dla dzieci, mamy jeszcze bardzo mało. Myli się wprawdzie Autor, kiedy pisze w „Słowie wstępnem", że „nie mamy stępuje po raz pierwszy na niwie literackiej. Praca zaś jego może liczyć na przyjęcie życzliwe tem bardziej, że egzort, przeznaegzort odpowiednich dla dzieci;" egzorty dla dzieci wydał przed kilku laty X. Józef Koterbski, można też znaleźć niejedną w „Dwutygodniku katechetycznym" (nie mówiąc już o naszym „Miesięczniku", który zamieścił także kilka, — prawda, że jeszcze bardzo niewiele, bo też liczy dopiero trzeci rok życia). Mógł też Autor korzystać dużo z katechez, np. Mey'a, X. Bielawskiego, z nauk, napisanych dla dzieci przez kilku księży francuskich itd. Zdaje się jednak, że wydawnictwa te nie są mu znane i dlatego pisze, że „nie mógł czerpać materyału do swojej pracy" z żadnego źródła. Nie chcemy oczywiście podsuwać mu tą swoja uwagą rady, że powinien raczej wyszukiwać i powtarzać cudze myśli niż pracować samodzielnie; — sądzimy tylko, że zawsze można korzystać z przestudyowania istniejących już utworów homiletycznych, chociażby nie wzorowych, jeżeli nie są całkiem liche.

Książka, którą mamy przed sobą, jest wydana pięknie i starannie i świadczy bardzo dobrze o talencie i pracowitości Autora. Znajdujemy w niej 42 nauk, których tematy są trafnie wybrane i praktyczne. Pouczają one o miłości dzieci ku rodzicom, o miłości Boga, o kłamstwie, pobożności i wesołości, o dniu zadusznym, o miłosierdziu Bożem, o krzyżu, o modlitwie itd. Odznaczają się stylem potoczystym, prostym, treściwym a dla maluczkich przystępnym. Zawierają też dość dużo dobrych przykładów. Ładne są między innymi ustępy na str. 89—90 (o miłości ojczyzny) albo na str. 107—108 (o modlitwie za dusze w czyścu cierpiące). Wszędzie odczuwa się, że przemawia tu katecheta sumienny, dobry, dziatwę miłujący.

Są jednak i pewne usterki, które zresztą nie mogą dziwić u autora początkującego i widocznie mało jeszcze obeznanego z literaturą homiletyczną. Czasem popada w banalność, kiedy np. wylicza na str. 41 różne rodzaje chorób: tyfus, cholerę, szkarlatynę itd. Czasem używa wyrażeń trywialnych i rażących, kiedy np. pisze: „Dzieci... przychodzą nie umyte, ręce i nogi

czarne, że możnaby pługiem po nich przejechać i — jak to mówią — rzepę zasiać", że na ubraniu ich tyle „tłuszczu, że — jak to mówią — rosół możnaby ugotować" (str. 42). Zakończenia jego bywają banalne i słabe (np. na str. 49, 54, 70, 75 itd.), więc nie mogą uczynić wrażenia. Ponieważ przemawiał w kościele, w obecności rodziców, więc wypowiada nieraz nagany wyraźnie pod ich adresem (np. na str. 129), których nie powinny słuchać dzieci. Wszystkie zresztą nauki są bardzo, aż zanadto krótkie, dlatego też zbyt mało zawierają treści.

Na str. 22 mówi o „małej liczbie wybranych". Nie będziemy tu powtarzali tego, cośmy już napisali w naszym „Miesięczniku" (p. str. 107 sqq. z r. 1912 — recenzya „Nowej Biblioteki Kaznodziejskiej") o tej rzekomej „prawdzie" i o błędzie, popełnianym przez tych, którzy zapewniają, że tylko mała część ludzi będzie zbawioną. Błąd ten znajdujemy niestety i u szan. Autora, który prawdopodobnie nie czytał tego, co o kazaniach na ten temat napisali Jungmann, Hurter i inni.

Pomimo jednak tych usterek zasługują n. zd. egzorty te na polecenie. *X. A. P.*

Wspomnienie pośmiertne.

Śp. X. Dr. Zygmunt Lenkiewicz. Był to kapłan wielkich zdolności, miary niecodziennej, zasług niepospolitych. Dlatego można powiedzieć bez przesady, że strata jego jest dla Kościoła polskiego bardzo dotkliwą. Urodzony w r. 1845, wyświęcony r. 1867, był przez szereg lat profesorem teologii moralnej w uniwersytecie Jagiellońskim, — profesorem znakomitym, wysoko cenionym i bardzo kochanym przez uczniów i wszystkich, którzy mogli go poznać bliżej: wiedza gruntowna i rozległa, bystrość umysłu, jasność i logiczność wysłowienia czyniły każdy jego wykład bardzo zajmującym i pouczającym. Wróciwszy do Lwowa, gdzie uzyskał godność kanonika katedralnego, pracował bardzo rozumnie i pożytecznie na różnych ważnych stanowiskach: był radcą i referentem Konsystorza metropolitalnego, członkiem rady szkolnej krajowej, rady miejskiej a w ostatnich miesiącach przed śmiercią także rektorem seminaryum duchownego i dyrektorem zakładu głuchoniemych. Wszędzie, gdziekolwiek pracował, umiał sobie pozyskiwać poważanie i sympatyę, umiał rzecz każdą ująć zręcznie i trafnie, umiał urozmaicić i uprzyjemnić każdą dyskusyę miłym swoim i wytwornym dowcipem. Tak np. przemawiał doskonale przed laty na walnem zgromadzeniu nauczycieli szkół wyższych w Krakowie przeciwko wprowadzeniu nauczycieli rel.

„Mojżeszowej“ („lucus a non lucendo“) do szkół galicyjskich, na kursie katechetycznym we Lwowie (w r. 1907), w lwowskiem Kole Katechetów, w którego obradach dość często żywy brał udział. Wygłosił też kilka referatów z zakresu katechetyki, których część zamieścił w naszym „Miesięczniku“ („O częstej i codziennej Komunii św.“ r. 1911, str. 5, 49 i 97); — „O prawie Bożem naturalnem“ r. 1912, str. 3). Poprzednio redagował przez lat 5 (od 1892—1897) „Gazetę Kościelną“, wywiązując się jak najlepiej z tego ciężkiego zadania: sam pisał dużo i wybornie, starał się o dobrych współpracowników, postawił „Gazetę“ odrazu na wysokim poziomie, a zasługi jego na tem polu trzeba cenić tem więcej, że u nas jeszcze mało stosunkowo księży na niem pracuje. Później redagował przez kilka lat miesięcznik: „Adoracya Najśw. Sakramentu“. Książki nie napisał żadnej, nad czem trzeba bardzo ubolewać, bo mógł niewątpliwie zbogacić ubogą jeszcze naszą literaturę teologiczną dziełami wielkiej wartości.

Praca jego i zasługi znalazły zupełne uznanie u Władzy duchownej i wyjednały mu godności i zaszczyty wysokie: był prałatem domowym Ojca św., infułatem, dziekanem lwowskiej kapituły metropolitalnej a w ostatnim czasie i wikaryuszem generalnym archidyecezyi lwowskiej i prawą ręką J. E. X. Arcybiskupa Dra Bilczewskiego, który go bardzo kochał i wysoko poważał jako swego byłego profesora i jako kapłana światłego i oddanego zupełnie sprawie Kościoła.

I nasz „Miesięcznik Kat. i Wych“. zawdzięcza śp. X. Lenkiewiczowi bardzo wiele; zaopiekował się bowiem szczerze i skutecznie tem pismem, udzielił mu poparcia moralnego i materyalnego, wyjednał mu hojną subwencyę u kapituły metropolitalnej, umieszczał w niem swoje rozprawy, nie przyjmując za nie żadnego honoraryum: i w tem objawiła się jego szczodrość i dobroczynność, która go skłaniała do udzielania pomocy wszelkim zbożnym przedsięwzięciom i do spełniania licznych uczynków miłosiernych; — wiele wdów i sierót opłakuje dziś jego stratę. Rodzinę swoją wspierał w miarę rzeczywistej potrzeby, ale nie chciał jej zbogacić majątkiem kościelnym, jak czynią inni.

Chorował od dawna na cukrzycę, ale mógł chodzić i pracować do ostatnich dni życia, póki go nie powaliło na łoże śmierci zapalenie płuc. Zmarł 18 maja r. b., wyspowiadawszy się pobożnie i przyjąwszy tego samego dnia Komunię św.

Pogrzeb jego odbył się 20-go przy udziale trzech Arcybiskupów, trzech Biskupów, wielu dygnitarzy duchownych i świeckich, licznego kleru i wielkiego zastępu wiernych.

R. i. p. *X. A. P.*

Varia.

W sprawie „egzaminu dojrzałości“ w naszych szkołach średnich. Dotąd wysyłała zawsze, jak wiadomo, rada szk. kr. do komisyi egzaminacyjnych swoich delegatów, przewodniczących przy t. zw. „maturze“. Bywali to radcy szkolni, profesorowie uniwersytetów albo też dyrektorzy krajowych szkół średnich. Ale rzecz ta napotyka na coraz większe trudności, bo członków rady szk. kr. jest stosunkowo za mało, żeby można dla każdej szkoły średniej przeznaczyć jednego a profesorowie uniwersyteccy nie chcą przyjmować tego mandatu, bo przewodniczenie egzaminowi maturalnemu zabiera zbyt wiele czasu i jest czynnością nudną i męczącą. Postanowiono więc w tym roku nie wysyłać już delegatów tam, gdzie o nich będzie trudno i powierzyć przewodnictwo samym dyrektorom zakładów a mianowicie zrobiono to w niektórych szkołach realnych, bo dla tych najtrudniej znaleźć delegatów.

Otóż wobec tego musi się nasunąć na seryo pytanie, czy w dzisiejszych stosunkach egzamin ten ma jeszcze jakąś racyę bytu? — Za utrzymaniem go dalszem przemawiają trzy względy bardzo poważne: 1-e) Zniewala on uczniów, którzy nie uczyli się systematycznie i gruntownie w latach poprzednich, do powtórzenia sobie rzeczy najważniejszych w klasie najwyższej; — 2-e) delegat rady szk. kr. może przy tym egzaminie przekonać się o stanie i o wynikach nauki w zakładzie, do którego przybył; — 3-e) samo grono nauczycielskie może sobie uświadomić na podstawie wyników egzaminu wartość i pożytek swej pracy a względnie potrzebę pewnych reform w nauczaniu i ocenianiu postępów młodzieży. Jeżeli jednak sam dyrektor przewodniczy w swoim zakładzie, wtedy można się obawiać, że cały egzamin zejdzie na prostą formalność bez żadnego pożytku. Dyrektor bowiem i nauczyciele klasy najwyższej uznają już z góry za „dojrzałych“, wszystkich uczniów swoich których dopuszczają do „matury“ i nie będą skłonni do zbyt ścisłego ich egzaminowania a tem mniej do reprobowania znaczniejszej ich liczby, bo to naraziłoby ich na uzasadniony zarzut, że chyba źle musieli uczyć i zbyt pobłażliwie klasyfikować, skoro teraz pokazuje się, że tak wielu nie mogło otrzymać świadectwa „dojrzałości“! Dla władzy zaś szkolnej przestanie być w tym razie egzamin potrzebnym środkiem kontroli. Przestaje on zresztą zazwyczaj być takim środkiem i wtenczas, kiedy przewodniczy inny dyrektor szkoły średniej, — bo przecież temu nie pozwoli już sam wzgląd na koleżeństwo przedstawić radzie szk. kr. w świetle ujemnem wyników egzaminu.

Czyż wobec tego — pytamy — warto się jeszcze upierać przy instytucyi egzaminu maturalnego? *P.*

Kinematografy a młodzież.

Wobec skarg rodziców na wpływ szkodliwy przedstawień kinematograficznych na młodzież, władze niektórych Stanów Ameryki północnej zarządziły rewizyę tych zakładów. Zbadano 290 film, z których 13'4 % przedstawiało kradzieże, 13'1 % morderstwa, 13'4 % pijatyki, 8'2 % sceny nieprzyzwoite, 7'2 % włamania, 5'8 % złośliwe żarty, 3% samobójstwa, a tylko 2'3 % obrazy nieszkodliwe pod względem pedagogicznym. Wziąwszy zaś pod uwagę fakt, iż obrazy migające są szkodliwe dla oczu, co stwierdzili specyaliści-lekarze, musi się przyjść do przekonania, że kinoteatry wywierają raczej zły wpływ na młodzież. Chcąc chęć w części temu zaradzić, ustanowiono już w Nowym Jorku i w Niemczech cenzurę film, dopuszczając do przedstawień tylko nieszkodliwe pod każdym względem obrazy. Długo trzeba będzie czekać, nim coś podobnego u nas się wprowadzi. A czyż sądzimy, że u nas jest pod tym względem lepiej? Powinni przynajmniej opiekunowie i wychowawcy pilnie zbadać, czy w danym kinoteatrze jest stosowny program, nim dadzą dzieciom, powierzonym swej opiece, pozwolenie na udanie się na przedstawienie. *α*

Rozporządzenie c. k. Ministerstwa Wyznań i Oświatu z dnia 17. lutego 1913 l. 39031 z r. 1912, w sprawie zarządzeń w celu zachowania rodzimych strojów ludowych.

Jednym z ważnych środków krzepienia miłości kraju rodzinnego, a zarazem wstrzymania szerzącej się coraz bardziej emigrancyi, jest między innemi wzbudzanie i popieranie zajęcia się rodzimymi obyczajami i zwyczajami, rodzimą sztuką ludową i swojskimi strojami.

Z tego względu nowe plany rysunku dla szkół ludowych i wydziałowych, seminaryów nauczycielskich męskich i żeńskich, kursów kształcenia nauczycielek robót i mistrzyń ogródków dziecięcych, wydane rozporządzeniem ministeryalnem z 15. września 1911 l. 27.348, tudzież instrukcye do tych planów, wydane rozporządzeniem ministeryalnem z 5. lipca 1912 l. 16.413, zalecają pielęgnować przy nauce rysunku rodzimą sztukę ludową.

Aby wstrzymać a przynajmniej opóźnić stopniowy zanik rodzimych strojów ludowych, c. k. Ministerstwo robót publicznych rozporządzeniem z 1. sierpnia 1911 l. 492 XXI a (Dziennik centralny dla spraw szkolnictwa przemysłowego, tom XXX, str. 17) poddało myśl urządzania czasowych kursów naukowych dla ludności wiejskiej, aby jej tym sposobem umożliwiać nabywanie tych zręczności, a zwłaszcza takich technik, jakie przy wykonywaniu tradycyjnych strojów wiejskich mają zastoso-

wanie, z jakichkolwiek jednak powodów wyszły z użycia, lub w niedostatecznej tylko mierze bywają stosowane.

Ten sam cel mając na oku, c. k. Ministerstwo Wyznań i Oświaty reskryptem z 17. lutego 1913 l. 39.031 poleciło żeńskim szkołom ludowym i wydziałowym, żeńskim seminaryom nauczycielskim i kursom kształcenia nauczycielek robót uwzględniać przy nauce robót kobiecych w sposób właściwy wspomniane wyżej zręczności i techniki, natomiast bezwarunkowo nie używać takich krojów, „wzorów bazarowych" i t. p., których rozpowszechnianie szkodzi odrębnemu a zdrowemu poczuciu sztuki, jakiem odznacza się lud wiejski.

Z c. k. Rady szkolnej krajowej.

We Lwowie, dnia 15. kwietnia 1913.

Za c. k. Namiestnika
Dembowski.

Kurs katechetyczny w Krakowie.

Na kursie katechetycznym, który się ma odbyć w Krakowie w dniach 11., 12., 13. i 14. listopada 1913 r., wygłoszone będą następujące referaty:

1. Pogląd krytyczny na dzisiejsze wychowanie (referent ks. Antoni Kwolek, Jasło).
2. Rodzina a wychowanie (ref. ks. Dr. Tomasz Wąsik, Przemyśl).
3. Rozbudzanie życia religijnego wśród młodzieży (ref. ks. Józef Wątorek, Tarnów).
4. Lektura dla młodzieży (ref. Prof. Walczak, Lwów).
5. Stan nauki religii w Królestwie Polskiem (ref. ks. Włodzimierz Jasiński, Kalisz).
6. Stan nauki religii w Poznańskiem i na Śląsku (ref. ks. Radca Piotrowicz ze Sulmierzyc).
7. Wykształcenie zawodowe katechetów (ref. ks. Jan Masny, Kraków).
8. Plany nauki religii w szkołach ludowych (pospolitych i wydziałowych) z uwzględnieniem wzajemnego stosunku biblii i katechizmu przez wszystkie lata nauczania w szkole ludowej (ref. ks. kanonik Marceli Ślepicki, Kraków).

9. Nauka religii w szkole jednoklasowej (ref. ks. proboszcz Józef Koterbski, Kamionka W.).

10. Nauka religii w szkole dopełniającej i wieczornej (ref. ks. Józef Kaliciński, Tarnów).

11. Metoda naprowadzająca i egzegetyczna w katechezie (ref. ks. Zygmunt Bielawski, Lwów).

12. Nauka katechizmu w I. i II. klasie szkół średnich (ref. ks. Alojzy Nalepa, Bochnia).

13. Nauka dogmatyki w szkołach średnich (ref. ks. Dr. Szulc, Lwów).

14. Nauka etyki w szkołach średnich (nazwisko ref. będzie później podane).

15. Nauka historyi kościelnej w szkołach średnich (ref. ks. Jakób Krysa, Chyrów).

16. Skauting (ref. Dr. Herman Mojmir, Kraków).

17. Zwalczanie alkoholizmu wśród młodzieży (ks. Dr. Jan Ciemniewski, Lwów).

W Krakowie 19. czerwca 1913.

Za komitet:

X. Dr. Szymon Hanuszek

Karmelicka 41.

Kurs zapowiada się bardzo dobrze. Karta uczestnictwa kosztuje 6 koron. W sprawach kursu udziela wszelkich informacyi i przyjmuje zgłoszenia X. Dr. Sz. Hanuszek. Urlopów udzieli Rada szk. kr. niewątpliwie wszystkim XX. Katechetom, którzy zechcą w kursie wziąć udział. *Redakcya.*

Nominacye i wiadomości osobiste.

X. Kan. Dr. Adam Podwin, objął z dniem 1 kwietnia br. jako biskupi komisarz, nadzór nad nauką religii we wszystkich gimnazyach, szkołach realnych i liceach w obrębie dyecezyi karkowskiej; X. Kan. Marceli Ślepicki w seminaryach nauczycielskich w dyecezyi i w szkołach wydziałowych i ludowych w obrębie miasta Krakowa.

Zamianowani: X. Władysław Guzek katechetą 6 kl. szk. m. w Bóbrce; X. Jarosław Karpiak, (gr. kat.) katechetą 5 kl. szk. wydz. żeń. w Drohobyczu; X. Romuald Tumpach zastępcą kat. w filii gimn. IV. we Lwowie.

Instytucyę kan. otrzymali: X. Dominik Zarytkiewicz, kat. szk. wydz. w Jaśle, na prob. w Trześni; X. Józef Rafa, kat. w Iwoniczu, na prob. tamże; X. Zygmunt Szmuc, kat. szk. wydz. m. w Krośnie, na prob. w Jasionowie.

Zmarli: X. Rafał Baran z Zak. OO. Kap. katecheta szkoły lud. im. Słowackiego w Zamarstynowie, w 36 r. życia a 9 r. kapł.; X. Feliks Lewandowski, katecheta w 6 kl. szk. wydz. m. w Czerniowcach, w 36 r. życia a 5 r. kapłaństwa. *R. i. p.*

Konkursy.

Na posadę naucz. rel. rz. kat. i gr. kat. w szk. 5 kl. m. w Dobromilu (III kl. płac); termin do 31 lipca r. b.; rel. gr. kat. w szk. 5 kl. m. w Mostach Wielkich; rz. kat. i gr. kat. w szk. 4 kl. m. w Kulikowie (III kl.); w 3 kl. wydz. m. im. Konarskiego w Tarnopolu (II. kl.); w 4 kl. m. im. Kościuszki w Wieliczce (II. kl.); rz. kat. i gr. kat. w 6 kl. szk. m. w Busku (III. kl.); rz. kat. i gr. kat. w 6 kl. szk. m. w Brzeżanach (II. kl.); termin do 15 lipca r. b.

Zeszyt następny (podwójny) za sierpień i wrzesień wyjdzie z końcem sierpnia r. b. Prosimy o rychłe uiszczenie zaległej przedpłaty. *Redakcya.*

Spis rzeczy.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.